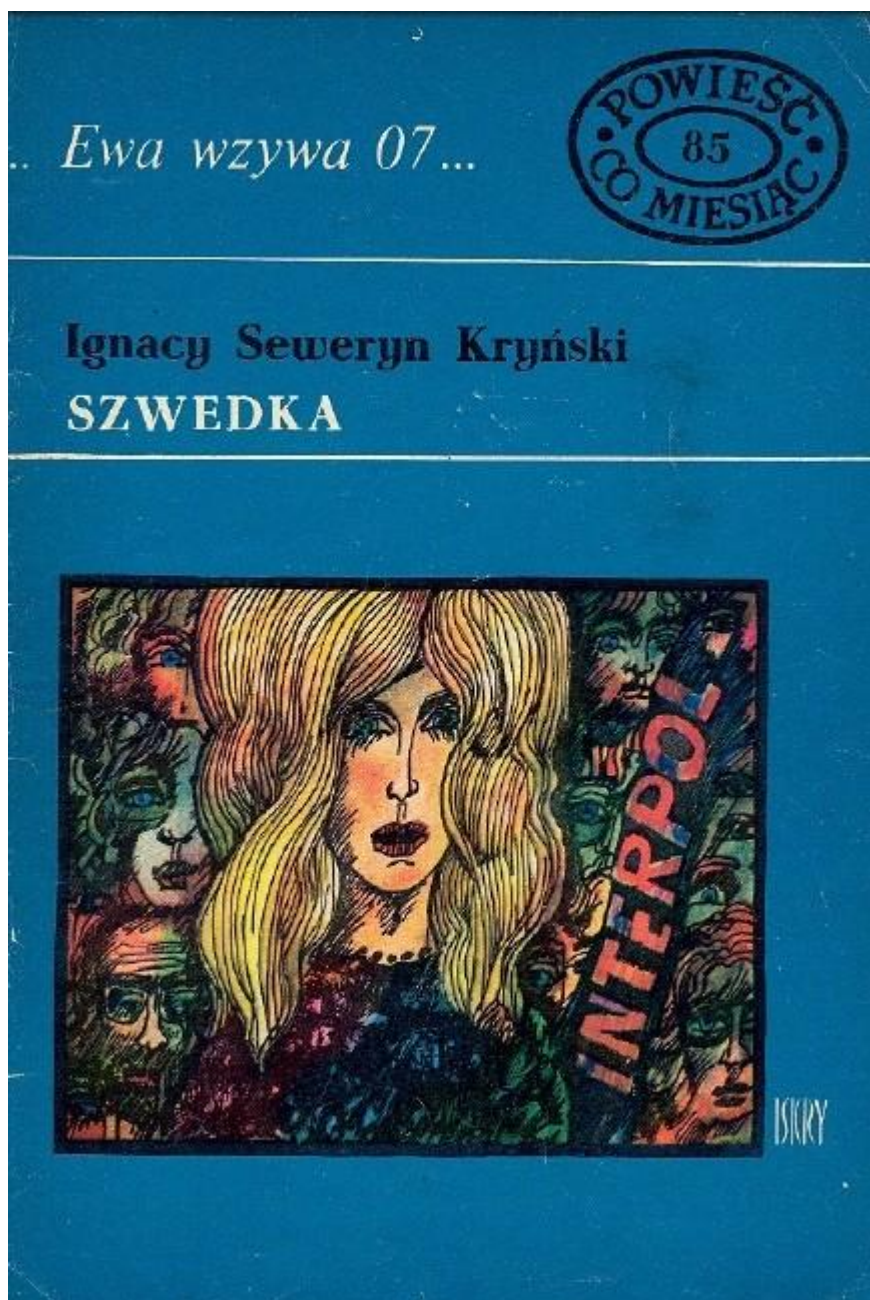


Ewa wzywa 07... Ewa wzywa 07...

Ignacy Seweryn Kryński

SZWEDKA



ROZDZIAŁ I

Wczoraj skończyłem 37 lat. Prawie nie do uwierzenia, że mam za sobą dwadzieścia lat pracy i rok bezczynnego życia na rencie.

— Okropnie ci zazdroszczę — mówiła dzielnie Hanka — możesz teraz robić, co chcesz...

Była bardzo zawiedziona, wiedziałem o tym. Gdyby nie ten cholerny zawał, siedzielibyśmy od roku w Rzymie. Zanim wylazłem ze szpitala, do Włoch wyjechał kolega, dużo starszy co prawda. A ja na rentę.

— Jesteś jeszcze młody, Sawka — powiedział szef przy pożegnaniu — szkoda tylko, żeś nie skończył bardziej praktycznego kierunku studiów, bo ta twoja filozofia, chłopcze... no, ale w najgorszym wypadku masz z czego żyć.

— Będąc na rencie gwizdałbym na wszystko i dopiero bym zaczął naprawdę malować — mawiał często Goldman.

Cholernie nie lubię tego Goldmana. i nie dlatego, że się ciągle pałęta przy Hance, że jedzie z nią do Meksyku, że to on właśnie jej to stypendium załatwił w Ministerstwie Kultury. Cyryla Goldmana nie trawię za jego młodzieńczą urodę i beztroskę, z jaką przechodzi przez życie. Ja niestety z urody i postury jestem sobie taki Olbrychski. Tylko że Olbrychski to kawał świetnego aktora, a ja?

— Ty jesteś wrak — powiedziała kiedyś smutno zalana Hanka.

Hucznie oblewaliśmy jej wyjazd w naszym nowym mieszkaniu. Szef, kiedy zapadła decyzja mego wyjazdu do słonecznej Italii, załatwił mi mieszkanie.

— Nareszcie się chyba ożenisz z tą swoją zwariowaną plastyczką, a nie wypada aby polski dyplomata mieszkał stale w malarskim burdelu.

„Artystyczny burdel” zdążyła jeszcze bardzo dokładnie zaprowadzić Hanka i na Górnośląskiej — jakkolwiek oficjalnie nie przeniosła pracowni ze Starego Miasta. Naszą facjatę zajęli jacyś artyści, kiedy to nie udało jej się wsadzić mi ich do nowego lokum.

— Jesteś wyjątkowy sobek — twierdziła z ubolewaniem, wynosząc, co się da, z lodówki dla czekającej na Starym Mieście malarskiej braci, — Na co ci aż trzy pokoje? Mieszkaliśmy sześć lat w mojej mansardzie i było dobrze. A tamci nie mają gdzie mieszkać i z czego żyć.

— A może by tak zaczęli wreszcie zarabiać na swoje utrzymanie? — powiedziałem nieśmiało. — To siedzenie po kawiarniach...

— Zwariowałaś! — Hanka zsiniała z irytacji. — Jakaś ogłupiająca, bezmyślna praca zabiłaby w nich natchnienie. Ja tylko dlatego mogłam mieć dwie udane wystawy, że nie musiałam uganiać się za zarobkami,

To był mocny argument. Hanka rzeczywiście od drugiego roku studiów na ASP aż po dzień wyjazdu do Meksyku była na moim utrzymaniu i może bym się w końcu i załamał, gdyby nie Goldman.

— Nie każdy forszę dostaje od krewnych z zagranicy, jak ja na przykład.

Stanowczo nie lubię tego faceta. Zaparłem się jak muł i Hanka upchała całą bandę na Starym Mieście. Co prawda przez trzy dni ochłaju przed wyjazdem Hanki brać artystyczna, kocująca w moim domu, traktowała mnie z nieukrywaniem wstrętem, ale jakoś to przeżyłem.

Jedynie Goldman zachowywał się przyzwoicie i właściwie tylko on, mimo że pił przez te trzy dni wcale się nie oszczędzając, wydawał się być trzeźwy. Przyglądał mi się ciągle tymi swoimi bezczelnymi, jasnymi oczyma, przyjazny i z lekka kpiący. A kiedy Katarzyna, Hanki przyjaciółka, usiłowała po pijanemu porąbać ogromną, sięgającą do sufitu rzeźbę Światowida — owoc trzyletnich, wakacyjnych zmagani Hanki — powiedział beztrosko:

— Nie powinni tyle pić. Mają bardzo słabe głowy. — Potem tak jakoś spoważniał i dodał od niechcienia:
— A... Haska... szczególnie.

— Dlaczego... szczególnie? — najeżyłem się z miejsca.

— Jest od nich słabsza, drobniejsza i w ogóle.

— Myli się pan — oznajmiłem z satysfakcją. — To tylko pozory. Żeby pan ją widział, jak mocowała się z tą toną drewna... Ma mięśnie ze stali — dodałem chętnie. I umilkłem wściekły, bo Cyryl Goldman był ostatnim człowiekiem, z którym miałbym ochotę rozmawiać o Hance.

Widocznie zrozumiał, bo roześmiał się cicho.

— Chyba pana nie uraziłem? Oczywiście Hankę zna pan najlepiej z nas wszystkich, nie miałem na myśli jej kondycji fizycznej. Ale wie pan przecież, że dzieci narkomanów mają słabszy system nerwowy...

— Jakich narkomanów, do cholery! — wrzasnąłem poirytowany. — Matka Hanki umarła przy jej urodzeniu, a ojciec...

— To dziwne — powiedział powoli. — Bo to właśnie sama Hanka opowiadała mi, że koszmarem jej dzieciństwa były odwiedziny u matki w zakładzie. Ojciec ją do tego zmuszał...

Coś jeszcze na ten temat mówił, ale ryki rozbawionej młodzieży i puszczone na cały regulator muzyka zagłuszyły jego słowa. Ze ściśniętym nagle sercem patrzyłem na Hankę. Owinięta kolorowym egzotycznym szalem — przywiozła go sobie z którejś z kolejnych zagranicznych podróży — tańczyła jak zwykle boso i jak zwykle improwizując. Ogromne ciemne oczy wydały mi się nagle żałosne... przerażająco puste.

A może to są plotki? — pomyślałem ze znużeniem. Chociaż o tym, że jej matka była rodowitą Francuzką, również dowiedziałem się przypadkiem.

Przy najbliższej okazji, tuż przed jej wyjazdem do Meksyku, mimo wewnętrznych oporów zapytałem Hankę o rodziców. Popatrzyła na mnie ogromnie zdziwiona.

— O co ci chodzi, Sawka? Mówiłam ci przecież, że mama nic żyje już wicie lat... zostawmy ją lepiej w spokoju. Nie masz większych zmartwień? — dodała, swoim zwyczajem czochrając mi włosy.

Nie cierpiałem tej pieszczoty, nie cierpiałem Goldmana i tej całej bandy, której Hanka poświęcała tyle czasu. Doszło do tego, że marzyłem w końcu o jej wyjeździe.

I oto już trzy miesiące pływam się w wymarzonej ciszy i zdycham z nudów. Hanka przysłała dwie entuzjastyczne kartki z Meksyku i trzecią zawiadamiającą, że jedzie do Stanów na zaproszenie wuja Goldmana, który specjalnie przyjechał z Izraela, aby poznać bratanka — artystę. Wspomniała, że pewnie zabiorą się z izraelskim wujem i odwiedzą Jerozolimę.

...Trzymaj się, Sawa. Tęsknię za Tobą okropnie. O Meksyku nie chce mi się pisać, opowiem Ci po przyjeździe. Zmęczyło mnie to wszystko... Z zamówienia, na które liczyłam — nici. Otrzymał je jakiś Włoch. Nerwy mi wysiadają, Sawa, to widocznie ten klimat. Przysięgam sobie, że skończę z tym wszystkim i będzie to moja ostatnia już podróż bez Ciebie, Muszę być w Nowym Jorku. Cyryl bardzo nalega, łązi za mną krok w krok, chętnie bym mu się urwała, ale chyba jednak pojedę do Jerozolimy — za duża pokusa...

Chciałem napisać, żeby uważała, bo może się znaleźć w strefie nowej wojny, ale na samą myśl, że musiałbym jej opisywać, kto z kim i dlaczego, zrezygnowałem. Zresztą przez parę dni, jak cała Polska, sterczałem przed telewizorem i gryzłem palce kibicując srebrnej drużynie Górskiego, z tłumami warszawiaków oblatywałem Trasę Łazienkowską i Zamek Królewski. Potem okropnie mnie denerwował Nixon i cała afera Watergate, trochę odetchnąłem po jego dymisji, wreszcie przestałem włączać telewizor.

A Hanka przestała pisać. Sewerek pewnie za nią tęsknił, czasami drapał do drzwi jej pokoju. Smród farb olejnych i obraz nieopisanego bałaganu odstraszył nas na jakiś czas. Usuwaliśmy się do dalszych pokoi, a właściwie do najmniejszego, gdzie miałem swoje biurko, książki i tapczan. Tu naprawdę czuliśmy się u siebie. Duży pokój — salon — jak go szumnie nazywała Hanka, przez który się przechodziło do naszych pokoi, mijałem pośpiesznie. Co prawda sam kupowałem wszystkie miękkie kanapy i dywany, ale odstraszały mnie ściany, które Hanka ozdobiła swoją i swoich przyjaciół twórczością. Czulem się tu jak w muzeum nowoczesnego malarstwa. Dlatego też i nie oglądałem telewizji. A zresztą miałem pisać powieść. Przez tę powieść nie pojechałem do Kazimierza. Paweł dzwonił parę razy. Kupił trzy lata temu jakiś chłopski domek tuż nad Wisłą, siedział w Kazimierzu trzy czwarte roku i tłukł te swoje współczesne sztuki, których nikt przez lata nie chciał wystawiać. I nagle coś się odmieniło. Zaczął być modny, dostał nagrodę. Jego żona, Zyta, odetchnęła, właściwie sama dotychczas przez wiele lat utrzymywała ogromną rodzinę. Jedyna kobieta, którą podziwiałem.

— Daj spokój, Sawa — mówiła z irytacją Hanka. — Na widok tej cierpietnicy robi mi się słabo.

— Taka matka-Polka to relikw minionych czasów — dodawał ironicznie Goldman.

Na myśl o tym facecie odrzuciło mnie od biurka. Sewerek podniósł czujnie uszy.

— No cóż, mój imienniku, rzucimy wszystko w diabły i jedziemy do Kazimierza?

Sewerek oszalał. Jego dzikie skoki nie dały mi czasu na jakąkolwiek refleksję. Przyniósł swoją smycz i czekał napięty, radosny, ale z żałosliwym bulgotaniem w gardle. Tak na wszelki wypadek.

Po jaką cholere pcham się do tego Kazimierza? — myślałem wrzucając do torby toaletowe przybory. — Paweł pół dnia siedzi w chałupie i pisze, następnie pół dnia pije w „Esterce”. Zyta z trzema chłopcami utknęła już na dobre w Warszawie, skończył się jej urlop w szpitalu i zaczął się rok szkolny. Będę zdany na gadulstwo starego Macioka. Po raz setny zmusi mnie do wysłuchania epopei o moim ojcu, o ostatniej partyzanckiej akcji, w której ojciec zginął. A ja nie lubię o tym mówić.

Na Dworzec Centralny dotarliśmy parę minut przed dziesiątą. Na miejscu okazało się, że trzeba było od razu na Wschodni, bo stamtąd odjeżdżają pociągi do Puław. Wskoczyliśmy więc do jakiegoś podmiejskiego, który przelatywał przez Wschodni. Miałem szansę zdążyć na pociąg i0.05. Elektryczny już ruszał, kiedy

wpadłem do przedziału i złapałem pudła na kolana. Przypomniałem sobie o tunelu. I nagle zaczęło się. Sewerek nigdy, jeszcze tak nie szalał: wyrywał się, charczał, wyl.

— Mądry pies, boi się ciemności jak człowiek — usłyszałem poprzez jego dzikie szczekanie.

Wreszcieienne światło buchnęło w okna wagonu. Odetchnąłem z ulgą. Na przeciwległej ławce siedziała jakaś korpulentna dama, życzliwie spoglądająca na rozhisteryzowanego pudła. To ona widocznie usiłowała przekrzyczeć mego psa. Obok niej przy oknie bardzo młoda dziewczyna w mini spódniczce. Długie, opalone nogi podlotka z dziecięcymi zadrapaniami.

— Niech pan uspokoi wreszcie swego kundla! — warknęła w moją stronę. Miała zapuchnięte, zaczerwienione od płaczu oczy.

Pokornie przygarnąłem do siebie Sewerka. Kłąłem w duchu głupi, nieprzemyślany wyjazd, kłąłem psa, dziewczynę, która tak okrutnie potraktowała mego brązowego pudła-medalistę.

— Co ci zawiniło biedne stworzenie? oburzyła się paniusia. — Jak się ma własne zmartwienia, to najłatwiej wyładować się na innych.

Nie dosłyszałem odpowiedzi dziewczyny, pociąg zwalniał, Sewerek znów zaczął swój koncert, paniusia z hałasem ściągała z półek ogromne pakunki. Dziewczyna przemknęła koło mnie.

I nagle krzyk. Straszny, wysoki, ochrypły przerażeniem wrzask na korytarzu. Nasze drzwi z miejsca zatarasował tłumek. Pchałem się i ja z Sewerkiem. Nie mogłem zrozumieć, co się dzieje, nikt nie wysiadał. Przebiłem się wreszcie przez ciżbę.

W przejściu na korytarzu leżała dziewczyna. Ta nasza z przedziału klęczała nad nią i krzyczała. Ludzie nieruchomo otaczali je ciasnym kręgiem. Nachyliłem się i ja nad leżącą. Nie żyła, nie mogła żyć z okropną otwartą raną gardła, długie, prawie białe włosy nasiąkały krwią.

ROZDZIAŁ II

Do Kazimierza jednak dojechałem. Dużo później co prawda, ale nie chciało mi się po tych wszystkich śledczych korowodach wracać do pustego mieszkania na Górnślaskiej.

Po prowizorycznym przesłuchaniu na Dworcu Wschodnim w pokoju zawiadowcy stacji spisano personalia sześciu osób, które czekały na przyjazd milicji i ochoczo zwały winę na mego pudła, kiedy to się okazało, że nikt nic nie widział i nic nie słyszał poza strasznym ujadaniem psa.

— To pewne, że morderca nie czekał na nasz przyjazd — powiedział kapitan Białowiejski.

— Czyli zbrodnia doskonała — odezwałem się inteligentnie.

— Nie ma zbrodni doskonałych, prędzej czy później morderca popełni jakiś błąd. Poczekamy. Musimy tymczasem zawiadomić ambasadę szwedzką.

—Szwedzką? — zdziwił się Paweł, kiedy mu to opowiadałem. Siedzieliśmy w jego przestronnej izbie z ogromną glinianą kuchnią stojącą pośrodku.

— Zamordowano szwedzką obywatelkę, Gunnar Brikson, lat dwadzieścia dziewięć. Miała przy sobie paszport.

W zadumie pokiwał głową. Był chudy jak zawsze, z rzadkimi, ciemnymi włosami do ramion. „Pozuje na Chrystusa” — śmiała się pobłaźliwie Zyta.

— Co słyszeć u twego ojca? — spytałem nie widząc inwalidzkiego wózka.

— Biedny staruszek, miesiąc temu miał drugi atak. Zycie udało się umieścić go w swoim szpitalu, ma go pod ręką.

— Słuchaj, Pawle... nie chciałbym zakłócać twoich zwyczajów. O tej porze bywasz zwykle w Sarpie albo w „Esterce”?

— Z tym już skończyłem, stary... Trzeba nareszcie pomyśleć o dzieciach. Marek poszedł w tym roku do szkoły. Sam rozumiesz...

Zrobiło mi się nagle smutno. Pozazdrościłem Pawłowi tej miłej, banalnej stabilizacji, pozazdrościłem żony i dzieci.

— Ale to nie znaczy, Sawka — powiedział ciepło — że nie strzelimy sobie po jednym koniaku, chyba że twoje serce...

— Diabli nadali moje serce. Daj koniak, nie mogę otrząsnąć się z tej dzisiejszej hecy.

Popiliśmy zdrowo. Wieczorem przed ósmą .poleżliśmy na górę do Domu Prasy. Co prawda dom ten po odejściu brodatego Erwina zjeżdżał na psy nieomal na oczach wczasowych gości, ale „Piekielko” tętniło życiem i tam wpadliśmy w ramiona Malkiewicza — znanego grafika, który na starość prawie się z Kazimierzem nie ruszał.

— Ej, Maciak, Maciak... Ani cię widać, ani słyszeć — ubolewał Malkiewicz.

— Nie mam czasu, nareszcie i ja sprzedaję to, co piszę... Znacicie się?

Pamiętam pana, a- jakże... — odpowiedział tamten. — Ale nie mieszka już pan chyba na Starym Mieście, jakoś nie widuję na spacerkach... Na jesienne wczasy do Kazimierza, samochodem?

— Nie. Do Pawła na dzień, dwa... pociągiem.

— Teraz to niebezpieczne. Dzisiaj zarznęli jakąś młodą damę w pociągu jadącym do Puław.

— Skąd ty o tym wiesz, Stasiu? — zdziwił się jakoś nieprzyjemnie Paweł.

— Nie był to co prawda pociąg do Puław, ale mniejsza z tym. Dziwne natomiast, że w Kazimierzu wiedzą już, co się zdarzyło w Warszawie. Bo że ja byłem niemal świadkiem... — roześmiałem się ubawiony.

— Panie, to jest już pan drugim naocznym świadkiem w Kazimierzu — ucieszył się Malkiewicz.

— Jak to drugim? — spytał Paweł.

— Markowska, no wiesz, ta ze spożywczego, właśnie jechała tym pociągiem, w którym popełniono zbrodnię. Nie wiem, co powiedziała milicji, ale ona coś wie.

— Niestety, zdaje się, że nikt nic nie wie i nikt nic nie widział — mruknąłem.

— Jak to nie! Markowska przysięga, że widziała tę blondynkę już przedtem!

— Dajcie spokój nieboszczce... Czy Markowska widziała ją, czy też nie i tak to jej nie wskrzesi — Paweł zaczął ukladać się na ławie na kolanach siedzących. Młodzież z piskiem przeskakiwała przez stół. Wiedziałem, że jak Paweł zaśnie, żadna siła nie zdoła go wyprowadzić z Domu Prasy.

— A to się schlał — ubolewał Malkiewicz, usiłując go podnieść.

— Jak my się z nim dotaszczymy do Rynku — złościłem się, dopijając swój koniak. Miałem ochotę jeszcze zostać w „Piekielku”, pogadać z ludźmi.

— Czy Markowska nie mówiła panu, panie Stanisławie, gdzie tę Szwedkę widziała? — podjąłem z mierzalnym rezultatem, bo był głuchawy, a hałas w barku wzrastał się proporcjonalnie do wypijanego przez gości alkoholu. Jednak chyba mnie usłyszał, bo odkrzyknął:

— Może by i powiedziała, ale nadbiegła Jagielska, a ja z nią od zeszłego roku nic rozmawiam. Kłaniam się i tyle.

— Kto taki?

— No, Jagielska... Ta dziennikarka z telewizji, ciągle przesiaduje w Kazimierzu, ale jak pan ciekaw, co ewentualnie Markowska wie o całej sprawie, niech się pan spyta redaktor Jagielskiej. Jestem pewien, że wszystko już z niej wyciągnęła — roześmiał się złośliwie.

— Nie będę się bawił w śledztwo. Od tego jest milicja — odparłem niedbale.

Z godzinę chyba mordowaliśmy się z Malkiewiczem, nieomal dźwigając na sobie Maciaka. Pomagał nam młody chłopak, chyba mieszkał przy Rynku, bo zapadł się jak pod ziemię tuż przy studni. Nawet mu nie zdążyłem podziękować. Malkiewicz pokuśtykał do swego nie wykończonego, od lat samotnego domu. Znów pod górę.

Po powrocie, zmordowany, zasnąłem od razu jak kamień. Zegarek mi stanął i kiedy zlałem ze swego stryszku, Paweł już warzył kawę, ogień buchał iskrami z ogromnej chłopskiej kuchni.

— Diabeł mnie skusił z tym piciem — powiedział markotnie na mój widok.

Miałem straszliwego kaca. Po wypiciu okropnej lury z mlekiem zwlokłem się ciężko z ławy.

— Dawno nie łąziłem po Kazimierzu, Pawle, przejdę się trochę z Sewerkiem, będziesz mógł spokojnie popracować — dodałem niewinnie. Paweł spojrzał na mnie z niesmakiem.

— Ja też chyba wyleżę w plener. Póki ładna pogoda, może uda mi się trochę popracować w lesie, mam pilne zamówienie — powiedział zabierając swoje notatki. — Ale co zrobimy z obiadem? — zafrasował się nagle. — W przyszłą niedzielę przyjedzie Zyta, będzie dobra domowa wyżerka.

— Mną się nie kłopotcz! W najgorszym razie zjem w SARP-ie z Malkiewiczem, usilnie mnie na obiad zapraszał — gwizdnąłem na psa.

Wreszcie Paweł z teczką powłókł się do lasu, ja zaś odczekawszy na Rynku, aż mi zniknie z horyzontu, pognąłem do Domu Prasy. Wstyd mi się było przyznać przed Pawłem, ale sprawa zamordowanej dziewczyny nie dawała mi spokoju. Chciałem dopaść redaktor Jagielską przy śniadaniu.

A nuż rzeczywiście wie już coś na temat Szwedki.

Pani Ania w recepcji rozpromieniła się na mój widok.

— Niestety, panie Sewerynie, redaktor Jagielska pojechała do Warszawy, godzinę temu już ktoś o nią pytał. Także mężczyzna — dodała filuternie.

— Wyjechała? Skoro świt?

— Jeszcze przed świtem, ale jutro pewnie wróci, bo ona odwrotnie niż inni nasi pensjonariusze. Siedzi tu w tygodniu, jeśli nie ma programu, a na niedzielę jeździ do Warszawy tym swoim małym Fiatem; mówi, że wtedy w redakcji ma spokój i może popracować...

— Jak kio lubi — powiedziałem filozoficznie.

Ania pożegnała mnie nader życzliwie. Niewątpliwie zasługa to Hanki, która w Domu Prasy była częstym gościem i jak typowy brat-łata umiała się w ten swój najbardziej zwariowany sposób dogadać ze wszystkimi, nawet z wyniosłymi paniami w recepcji,

Cały mój zapal diabli wzięli. Powłóczyłem się bez celu po Rynku, obejrzałem kiczowate wystawy domorosłych malarzy, zatrzymałem się dłużej w bramin przy SARP-ie. Wysoki blondas z szarymi oczyma proponował małe obrazki. Kupiłem dwa urocze szkice z Kazimierza — w duchu ogromnie ubawiony, bo jak na młodzieńca z głową w chmurach, za jakiego niewątpliwie chciał uchodzić, umiał się nieźle targować. Wyznał mi zresztą, że takich obrazków może dziennie machnąć dwadzieścia, a w sezonie, kiedy są turyści, sprzedaje je w godzinę lub dwie. Zbiera forszę. Pewnie na samochód — jeszcze nie jest zdecydowany.

Można i tak. A jak kiedyś zaproponowałem Hance, że i ona mogłaby malować Kazimierz, to się śmiertelnie obraziła. Malkiewicz jej bronił.-Jedliśmy obiad w SARP-ie, bez Pawła, jeszcze nie wrócił. Malkiewicz Hankę znał dobrze, cenił jej prace, wołał ją „w oleju”, ja — „w akwareli”. Trochę się pomądrzyłem na temat sztuki. Czegoś tam się przy Hance nauczył łom.

O zmroku rozstałem się ze starym gadułą. Na Rynku mocno zawiany gość miotał się od przechodnia do przechodnia w poszukiwaniu ognia. Niestety nie palę, odszedł zawiedziony, ale zaraz dopadł kogoś pod kawiarnią. Chwilę obserwowałem, ubawiony, jego pijackie pląsy. I nagle... doznałem szoku. Płomień oświecił twarz mężczyzny w białym letnim trenczu.

— Goldman! — krzyknąłem. Przysiagłbym, że to on, ale mężczyzna nie zareagował na mój głos i nie śpiesząc się skręcił w uliczkę za kościołem. Biegłem za nim chwilę, wreszcie oprzytomniałem.

Idioto! — wymyślałem sobie w duchu. — Gdyby to był rzeczywiście Cyryl, zatrzymałby się natychmiast. Wszystko można o nim powiedzieć, tylko nie to, że jest źle wychowany. Po drugie zwiedza teraz z Hanką Izrael. Niedobrze coś ze mną — myślałem smętnie. — Ta sprawa ze Szwedką rozstroiła mi nerwy. Maluczko, a uwierzę w duchy.

Kiedy dowlokłem się nad Wisłę, do chałupy Maciaków, Paweł rozpałał ogień w kominie.

Zawsze w jego domu było mroczno i wilgotno. Przydzwigał z lasu mnóstwo gałęzi. Przespał podobno na trawie całe popołudnie, śmiałem się w duchu z jego zadrapań. Musiał nieźle łązić po krzakach. Tłukł się potem na dole długo, a ja na stryszku, w pokoiku jego żony, czystym i schludnym jak jej lekarski fartuch, nie mogłem zasnąć niemal do świtu. Ta zmiana ciśnień dobija mnie w końcu — myślałem zasypiając wreszcie z bólem głowy.

W poniedziałek redaktor Jagielska, wbrew przepowiedniom pani Ani, nie przyjechała z Warszawy. Nie było też Markowskiej. Podobno zachorowało jej dziecko i nie przyszła do sklepu, Paweł znów gdzieś wybył — zostawiłem mu kartkę, zabrałem Sewerka i wsiadłem do autobusu LUX. Pies nagle poweselał. Byłem wściekły. To ja dla tego zwierzaka ruszyłem się z domu, wpakowałem się w idiotyczne morderstwo, a ten bydlak — kanapowiec — całą niedzielę łąził za mną jak z łaski, markotny i osowiały. Wieczorem zadzwonił Paweł. Ułagodziłem go, jak mogłem, dowodziłem mętnie, że jakoby zapomniał o telefonie Hanki, miała do mnie dzwonić. Chyba nie uwierzył i był bardzo zdziwiony. Jeszcze bardziej się zdziwił, kiedy zapytałem go o Jagielską. Nic nie wiedział, czy wróciła do Kazimierza. Ogarnęło mnie zniecierpliwienie. We wtorek od rana dzwoniłem do telewizji. Dzwoniłem parę razy. Za każdym razem słuchawkę podnosiła jakaś kobieta, chyba koleżanka, i pytała, kto mówi. Cierpliwie odpowiadałem, że Kryński, Ignacy Seweryn Kryński, równie cierpliwie odpowiadano mi, że pani Jagielskiej nie ma. Nic, do Kazimierza na pewno nie wyjechała, ale nie wiadomo, kiedy będzie w redakcji.

Wieczorem tłukłem na maszynie swój cotygodniowy felieton. Pisywałem do prasy takie różne dyrdymały, nawet mi nieźle szło, chwalono i dobrze płacono. Zawsze to był mój „zaskórniak”, do którego Hanka nie miała pretensji. Właśnie w redakcji powiedziano mi o Jagielskiej. Nie mogłem zrazu uwierzyć. Jagielska nie żyła! Nie żyła już w niedzielę po południu.

Ogarnęła mnie panika. Po powrocie do domu wykręciłem numer komendy. Kapitana Białowiejskiego nie było, nie chcieli mi podać domowego telefonu. Zostawiłem swój numer i nazwisko. Białowiejski zadzwonił rano, parę minut po ósmej. Zaproponowałem, że natychmiast do niego przyjadę do Pałacu Mostowskich.

— Przecież wiadomo, że redaktorka nie żyje już od trzech dni, pan nie słyszał o tym?... A w naszej sprawie — powiedział „w naszej” — nic nowego. Proszę się nie denerwować — dodał uspokajająco.

— Ja się nie denerwuję! — wrzasnąłem niegrzecznie. -- Mam pewne dane, które być może przydadzą się wam w śledztwie.

— To świetnie, zaraz u pana będę. Nic piłem jeszcze kawy, mogę liczyć na filiżankę?

Kiedy wreszcie zaparzyłem i podałem tę cholerną kawę, Białowiejski zapytał z uśmiechem:

— Ma pan jakieś rewelacje?

— Owszem, ale czy mógłby mi pan przedtem powiedzieć, kapitanie, w jaki sposób zginęła redaktor Jagielska? Przejrzałem prasę, piszą o tragicznej śmierci. Czy to był wypadek?

— W pewnym sensie tak, tą sprawą zajmuje się porucznik Borzęcka.

— Rozumiem, ale jeśli to nie tajemnica służbowa... — nalegałem.

— Tajemnica? Wie już o tym pół Warszawy, nie mówiąc o telewizji. To było morderstwo.

— Morderstwo? — Okazało się, że mój niepokój był słuszny.

— A tak. Jagielska została uduszona. Morderca musiał być jej dobrym znajomym, bo nikt obcy nie stałby za jej plecami. Może coś mu pokazywała, znaleziono na biurku otwarty scenariusz. Nawet kiedy rzucił jej na szyję pasek, prawdopodobnie skórzany pasek, musiała uznać to za swawolne przekomarzanie, bo nie usiłowała się nawet bronić. Obdukcja zwłok wykazała co prawda ślady głębokich zadrapań na szyi, ale okazało się, że są to ślady paznokci samej ofiary. Widocznie w ostatniej chwili próbowała rozluźnić zaciśniętą się pętlę.

— Okropne — westchnąłem. — Trzeba mieć nie lada siłę w rękach...

— Myli się pan. Przy zaciśnięciu pętli następuje przerwanie kręgów szyjnych, tak jak u wisielca. No, teraz pana kolej. Umieram z ciekawości — powiedział z uśmiechem, oczywiście protekcyjnie.

Opowiedziałem Białowiejskiemu o Markowskiej, o jej spotkaniu z Jagielską na Rynku, o przypuszczeniach Malkiewicza.

— Kto w Domu Prasy mógł słyszeć waszą rozmowę? — zapytał spokojnie kapitan, kiedy skończyłem gorączkowe i chaotyczne sprawozdanie.

— No... byliśmy nieco na rauszu, mówiliśmy głośno. Był pan już kiedyś w Domu Prasy w Kazimierzu?

— Nie. Nie miałem okazji, ale domyślałem się, że w „Piekielku” niezwykle rojno. Przychodzą tam również i goście z zewnątrz — dodał w zadumie.

— Właśnie. A poza tym śmierć Jagielskiej może nie mieć nic wspólnego z zabójstwem Szwedki — powiedziałem niepewnie. — To pewnie bzdury, nie chciałbym, aby moje podejrzenia...

— Bzdury, nie bzdury. Nigdy nic nie wiadomo — przerwał energicznie. — Pozwoli pan, że zadzwonię do komendy. — Kapitan sprężył się pomaszzerował, do mego pokoiku.

Siedziałem w głębokim fotelu i był moment, kiedy mi się wydawało, że zapadam się jeszcze głębiej. Serce zaczęło mi dziwnie pęcznieć w piersi. Naprzeciwko mnie na ścianie wisiał wielki obraz dziewczyny z wytrzeszczonym okiem na kolanie i z czerwoną różą na pępku. To miała być Hanka, widziana przez jednego z jej kolegów. Zrozumiałem, dlaczego nie czułem się dobrze w naszym reprezentacyjnym salonie.

Kapitan zauważył moją bladość, ale taktownie nie powiedział nic na ten temat. Był młodszy ode mnie zaledwie parę lat, ale mój Boże, jakież młody, jaki cholernie młody jest ten dryblas!

— Przyjedziemy do pana jeszcze raz, jeśli pan pozwoli. Nie ma teraz porucznik Borzęckiej, a ona na pewno będzie chciała usłyszeć wszystko to, co mi pan opowiedział. To jest jej sprawa, póki co, nie łączymy jeszcze tych dwóch morderstw.

— Proszę bardzo, ale może ja sam przyjadę do was do komendy? — zaproponowałem pośpiesznie.

— Tu chodzi o dobro śledztwa... Jeśli ktoś pana obserwuje, lepiej, żeby nie widziano pana w okolicy Pałacu Mostowskich — tłumaczył niezręcznie.

Robi ze mnie idiotę — myślałem wściekły, odprowadzając go do drzwi.

— Sądzę, że zainteresuje pana parę szczegółów ze śledztwa w sprawie naszej Szwedki — powiedział z uśmiechem. Chciał mnie udobruchać. — Coś niecoś o niej wiemy — dodał zachęcająco, w odpowiedzi na moje lodowate milczenie.

Uśmiechnąłem się sceptycznie. Białowiejski zarejestrował mój krzywy uśmiech. Był bardzo inteligentny. Wiedział, że umieram z ciekawości.

ROZDZIAŁ III

— Gunnar Brikson odwiedziła Polskę po raz drugi. W zeszłym roku bawiła w naszym kraju ponad trzy miesiące. Z zawodu nauczycielka, córka sztokholmskiego kupca i Polki. Znała świetnie język swojej matki. W tym roku przyjechała dziesiątego września, również na zaproszenie dalekich polskich krewnych. Dwunastego została zamordowana w pociągu elektrycznym jadącym z Dworca Centralnego przez dworzec Wschodni do Małkini. Dokąd jechała, nie wiadomo, bowiem u krewnych w Poznaniu jeszcze się nie pokazała, nie ustalono, gdzie spędziła dwa dni poprzedzające śmierć. Biletu przy niej nie znaleziono, widocznie nie zdążyła wykupić, prawdopodobnie wpadła w ostatniej chwili do elektrycznego.

— Tyle milicja, a właściwie kapitan Biało wiejski.

— Wanda Jagielska w niedzielę o jedenastej rano była w telewizji. Zadzwoniła z redakcji do matki, że jest już w Warszawie i przyjedzie na obiad około szesnastej, jak się umówiły. Była w dobrym humorze i dopytywała się, co na obiad. Mieszkała z matką drugi rok, od czasu rozvodu. Jej były mąż, Andrzej Jagielski, pracował również w Radiokomitecie, ale na Malczewskiego. Obecna żona daje mu alibi na całe niedzielne popołudnie. Spacerowali wzdłuż Trasy Łazienkowskiej, obiad jedli na Saskiej Kępie.

— Jagielski znał zwyczaje Wandy. Od lat przyjeżdżała do redakcji prawie w każdą niedzielę, nawet kiedy jeszcze mieszkali ze sobą, i nie tylko po to, aby nagrywać swoje programy. Pewnie nie chciała spędzać niedziel w domu — twierdziła jej matka — bo Jagielskiego nigdy nie było, a potem to się już przyzwyczaiła. Wrogów nie miała, chociaż zrozpaczona matka sugeruje, że dawny mąż Wandy był do niej wrogo nastawiony. Dlaczego — nie rozumie, bo przecież Wanda wyniosła się z wspólnego małżeńskiego mieszkania, tak jak stała, zostawiła mu wszystko. Samochód kupiła dopiero na raty rok temu. A on sprowadził sobie tę lafiryndę. To ona rozbiła ich małżeństwo.

Kiedy Wanda nie przyjechała na Targową na obiad, matka zadzwoniła do telewizji. Nikt już nie odbierał telefonu. Była zła, że Wanda gdzieś się urwała i nie dała jej nawet znać. A nazajutrz przyjechali do niej z telewizji i z milicji, powiedzieli o tragedii. Sprzątaczką weszła o ósmej rano do pokoju. Otworzyła służbowym kluczem, bo drzwi zastała zamknięte. Redaktor Jagielska leżała na podłodze między ciasno ustawionymi biurkami. Lekarz stwierdził zgon, uduszono ją między trzynastą a czternastą. Odcisków palców bez liku, widocznie niezbyt dokładnie wyciera się tam kurze.

Tyle Kinga Borzęcka — oficer wydziału dochodzeniowo-śledczego Stołecznej Komendy MO.

— Właściwie nie ma żadnych powiązań między tymi dwiema zbrodniami, chyba że rzeczywiście Markowska.... — bąknąłem niepewnie.

— Markowską przesłuchano w Białymstoku. Pojechała do chorego dziecka, które przebywa tam u dziadków.

— Piorunem to załatwiliście — spojrzałem z podziwem na kapitana.

— Robimy, co możemy — powiedział spokojnie. — Markowska pamięta pana doskonale ze wspólnej podróży. Bo tej małej, którą pan poczęstował policzkiem...

— Musiałem, to był jedyny sposób na histerię.

— Tak, oczywiście, ale... nie możemy chwilowo jej odszukać. Teraz naszym najpilniejszym zadaniem, nad którym zresztą usilnie pracujemy, jest sprawdzenie wszystkich kontaktów Gunnar Brikson.

Odezwała się porucznik Borzęcka. Prawie o niej zapomniałem:

— Zdaje się, Jacusiu, że dobrze ci się rozmawia, ale chyba musimy wracać do roboty — powiedziała kpiąco.

Przyjrzałem się jej właściwie po raz pierwszy. Długonoga, smukła, krótko ostrzyżona, popielato blond włosy. Oczy zielone, lekko skośne.

— Kinga! Co za zdumiewające imię dla milicjantki!

— Wolałby pan, Lodzia? — parsknęła.

— Dlaczego Lodzia? — zainteresował się kapitan, po czym zaczerwienił się z irytacji.

— Jeśli nas pan zaprosi, wpadniemy jeszcze kiedyś, panie... — porucznik Borzęcka rozkwitła uśmiechem.

— Na imię mam Seweryn — zajrzałem jej w oczy.

— A nie Ignacy?

— Ale wracając do Szwedki — przerwał nasze przekomarzania kapitan Białowiejski — kolejarz twierdzi, że widział ją na Centralnym... Z kimś rozmawiała...

— Kolejarz? — usiłowałem zebrać myśli.

— No tak, Barański, zgłosił się razem z panem na świadka.

— Ach tak...

Staliśmy obaj z Sewerkiem przy drzwiach po ich odejściu. Słysząc było śmiech dziewczyny i naburmuszony głos kapitana. Zastanawiałem się chwilę nad sytuacją.

Zupełnie nieźle, stary — myślałem — zaczynasz wracać do formy.

Było już po północy, kiedy wtargnęła niespodziewanie Zyta Maciakowa.

— Nie, nic się nie stało. Jadę z dyżuru. Paweł dzwonił i błagał, abym zobaczyła, co się z tobą dzieje. Wołałam wpaść teraz niż o ósmej rano.

— Cieszę się, że przyszedłeś, co prawda myślałem, że to milicja.

— Milicja? Chyba żartujesz, Sewer — śmiała się Zyta.

Nie lubię dużych i tęgich kobiet, ale Zyta przy swojej tuszy była zgrabna i sprężysta.

— Przypominasz mi Ninę Dumbadze — zauważyłem, chcąc jej zrobić przyjemność. Chyba jednak nie odebrała tego jako komplement, bo powiedziała sucho:

— Powtarzasz się, mój drogi. Bardzo bym chciała być smukłą, ale po trojgu dzieciach... a zresztą nie mam czasu na jakiegokolwiek zabiegi, nawet na dietę.

— Nie musisz już chyba uganiać się za dodatkowymi dyżurami.

— A wiesz, że już nie muszę — zastanowiła się moment. — Ale ja jak koń wciągnięty w kierat. Nie umiem przestać.

— Powinnaś. Zyto, poświęcać więcej czasu swoim trzem chłopakom, coraz bardziej ciebie potrzebują — powiedziałem mentorsko.

— Trzem? — zaśmiała się. — Zapominasz o Pawle. Właśnie po to przyjechałam w nocy, aby spełnić jego gorące życzenie. Mam cię porwać w sobotę do Kazimierza. Będzie jedno miejsce koło kierowcy, chyba że boisz się ze mną jechać.

Zyta prowadziła wspaniale. W latach największej nędzy nie chciała się rozstać ze swoją starą Wołgą.

— Nie zmieniasz samochodu? Maluczko, a rozsypie ci się ta twoja landara.

— Ee, gdyby Paweł chciał prowadzić, to może... A tak, wystarczy nam, aby zatelepać się do Kazimierza. A propos! Co mam powiedzieć Pawłowi?

— Zatelefonuję do ciebie w piątek. Nie jestem pewien, czy nie będę jeszcze potrzebny milicji, wiesz, ta sprawa ze Szwedką, Paweł ci nie mówił?

— Tak, chyba tak. Zresztą czytałam o tym w prasie — powiedziała z roztargnieniem. — A jest coś nowego?

Była zmęczona, śpiąca. Nie wiem, czy dotarło do niej cokolwiek z mojej opowieści.

— Wybacz, Sawa, jutro muszę bardzo rano wstać — przerwała mi w pewnym momencie. — Marek chodzi do szkoły na ósmą, a potem jak zwykle szpital. Nie gniewaj się, ale już pojadę.

Nie chciałem, żeby odchodziła. Cholernie nie chciałem... Patrzyła na mnie z litościwym zrozumieniem.

— To nie ma sensu, Sawa. Chyba nie masz zamiaru mnie uwodzić. — A potem już przy drzwiach spytała od niechcienia: — Miałeś jakąś wiadomość od Hanki?

Nie miałem. Dostałem co prawda list ze Stanów, ale nie chciałem mówić o tym Zycie. Ku mojemu ogromnemu zdziwieniu napisał do mnie Jurek Burski. Po wyjściu Zyty sięgnąłem ponownie po list.

Drogi Koniu!

Adres dostałem od Twojej Pani, a właściwie od jej towarzysza. Pewnie się zdziwisz, że ni z tego, ni z owego piszę do Ciebie, chociaż nasze drogi w ostatnich latach się rozeszły. Ja już trzeci rok siedzę w Wa-

szynngtonie, tym razem jako pracownik ambasady, ale nie o tym chciałem pisać. Otóż onegdaj byłem z żoną i z parą naszych amerykańskich przyjaciół na kolacji w takiej jednej knajpie i tam właśnie spotkałem Hankę. Od razu ją poznałem, spędziliśmy przecież w 70-tym parę cudownych tygodni na Mazurach. Pamiętasz nasze nocne wypadki do Mikołajek?! Byłem jeszcze wtedy kawalerem i w tamte lato kochałem się w Twojej Hance. Nabijaliście się ze mnie wszyscy, a ona najbardziej. Masz szczęście, chłopie... Taaaka dziewczyna... No, na swoją Ewę też nie mogę narzekać, przyjeżdżamy na Boże Narodzenie, na urlop, to się poznać.

Ale wracając do naszego spotkania w chińskiej knajpie. Lokalik to niewielki, jada tam zbieranina z całego świata. Dają cudownie jeść, bo kucharz Chińczyk. Właścicielem, wyobraź sobie, jest nasz rodak z Białostocczyny, bardzo zresztą serdeczny dla ziomków i stawia Polakom nawet wódkę, ale ambasada ma o nim wyrobione zdanie. Policja często tu zagląda i wygarnia od czasu do czasu parę osób, głównie młodzież, podobno narkotyki...

I tu nie chciałbym ciebie niepotrzebnie niepokoić, ale na Twoim miejscu ściągnąłbym Hankę jak najprędzej do kraju. Była w bardzo dziwnym towarzystwie wczorajszej nocy, a najbardziej mi się nie podobał ten jej kolega — malarz. Goldman czy jakoś tam, ten, co mi dał Twój adres. Hanka była oczywiście okay, ale on? Zdrowo sobie chyba powąchał i nie dał się Hance wyprowadzić z lokalu, chociaż za wszelką cenę chciała go odwieźć do hotelu.

Skarżyła mi się, biedula, że ma z nim tylko utrapienie i że zepsuł jej cały pobyt. A potem ten jej Cyryl wszczął drakę z jakimś facetem, co było dalej, nie wiem, zabraliśmy Hankę do naszego samochodu, zanim wkroczyła policja, i odstawiliśmy ją do hotelu.

Mister Ogorec (polski Ogórek!) powiedział mi dzisiaj rano, że Goldmana zgarnięto razem z innymi, bo się wywiązała duża bójka. Nie umiem Ci powiedzieć, czy wypuścili tego Cyryla, czy nie, do ambasady nie zadzwonił, może interweniował u konsula. Hanka również się nie odezwała, chociaż obiecała zadzwonić do Ewy, w hotelu mi powiedziano, bo tam dzwoniłem, że skoro świt spakowała walizki i wyjechała.

Tak czy inaczej tylko dlatego Ci to opisuję, bo oboje z Ewą (ona głównie!) uważamy, że ten Cyryl wpakuje ją jeszcze w jakąś kabałę. Napisz do nas koniecznie na adres... — Ud.

Bardzo się tym listem ponownie zdenerwowałem. Wyobraziłem sobie nagle Hankę w dżungli Nowego Jorku. Dlaczego Nowego Jorku?! Przecież Burski pisze o knajpie w Waszyngtonie? Nic już z tego wszystkiego nie rozumiałem.

Nie mogłem zasnąć. Zyta wybiła mnie, ze snu i to głupie pytanie o Hankę. Co ją to w końcu obchodzi!

A w ogóle ten tydzień obfitował w gości. W czwartek koło południa wtargnął do mojej samotni nowy gość. Brodaty, sandały na bosych stopach. Wpuściłem go z oporami.

— Nie powiesz chyba, że mnie nie znasz — zadudnił ochrypłym basem. Oczy miał błękitne, dziecięce. Kogoś mi to oczy przypominały. — Piliśmy razem trzy dni, nie pamiętasz?

Z powątpiewaniem kręciłem głową.

— Oni mówią, że Hanka się przed nami ukrywa. — Właził bezceremonialnie do wszystkich pokoi.

— Hanka?!

— No tak, pisała, że niedługo wraca. Do mnie nie pisała od lipca. Wreszcie poznałem swego gościa. To był jeden z tej bandy, ze Starego Miasta.

— Mogę się wykapać? Wyłączyli nam gaz. — Ledwo się wbił w mój kąpielowy płaszcz.

— Oszukała nas — gawędził wyjadając metodycznie z lodówki moje zapasy. — Cała Hanka! Dopóki byliśmy jej potrzebni...

— Może kieliszek koniaku? — zaproponowałem, coraz bardziej zadowolony z wizyty.

— Nie piję tego świństwa. Jeśli masz białą wódkę, to chętnie.

Miałem. Od wyjazdu Hanka barek mój pęczniał. Nikt mnie nie odwiedzał, nie było komu pić.

— Wpadłem na genialny pomysł, no nie? — chełpił się, już syty i opity. Pudła spędził z fotela, wielkie, owłosione nogi oparł o mój tapczan.

— Pomysł? — podjąłem uprzejmie.

— No tak, oni tam na ciebie szczerzą zęby, a ja sobie pomyślałem: facet sympatyczny, trochę dziwak, ale przecież nie wszyscy muszą być normalni.

— Tak jak wy — powiedziałem z powagą.

— A jak?! Zresztą naprawdę myślałem, że się przed nami ukrywa.

— Hanka — upewniłem się po raz wtóry.

— Hanka. Katarzyna przysięgała, że ją widziała na Nowym Świecie.

— No i co? Znikła?

— Gorzej. Katarzyna przysięga, że pewnie wyszła za męża, ale tak łatwo się nas nic pozbędzie.

— Za męża, powiadasz, a za kogo?

— Ee, dowcipniś, pewnie, że nie za tego gołodupca Goldmana... Znalazła lepszą dojną krowę...

— To znaczy mnie? — spytałem domyślnie.

— Inna rzecz, jesteś równy gość, gdyby nie ty, nasza komuna cienko by śpiewała, to, coś nam odpalał...

— Słuchaj... zapomniałem, jak masz na imię!

— Michał. Michał Burany!

— Słuchaj, Michale Burany — powiedziałem stanowczo. — Nie ma o czym mówić. Te parę groszy, co wam Hanka odpalała, jak to ty nazywasz, to tylko jej zasługa. Zostawało jej z kosmetyków, i jej sprawa, co robiła ze swoimi pieniędzmi, bo jeśli o mnie chodzi, nie dałbym wam złamanego grosza...

— Kiedy ja dojdę do takiej prosperity — przerwał mi smętnie — żeby o tysiącach mówić z takim lekceważeniem.

— Jakie tysiące, do cholery!

— Niewielkie, ale z dziesięć wyciągaliśmy...

Zrobiłem się nagle czujny. Coś tu nie grało. Moja renta i to, co dorobię, to znów nie aż tak dużo. Oczywiście mi nie uwierzył, ale zebrał się prędko i grzecznie. Dopędziłem go na schodach.

— Michał, mam do ciebie prośbę, nie sprowadzaj mi tu tylko tej całej bandy.

— To sam się mam narażać? — oburzył się.

— Jak chcesz, przychodź, ale sam. Potrzebuję spokoju. Inaczej poszczuję psem — powiedziałem zimno.

— Tą kudłatą owieczką — roześmiał się wzgardliwie.

— Nie. Kupię owczarka, alzackiego, a swoim kolegom poradź, niech się wezmą do jakiejś roboty.

— Aleś ty menda! Hanka mówiła nam, że siedzisz na forsie i miała rację, kiedy ostrzegała, że będzie z tobą przeprawa.

— Mówiła?

— Nawet pisała. Wiesz, jak cię kiedyś nazwała? Wrakiem, ale wrakiem pełnym złota. Wrakiem! Za to cię ponoć siupnęli z pracy.

Pociemniało mi w oczach. Strzeliłem prawym prostym. Byłem kiedyś dobry w boksie w wadze lekkiej. Teraz ważyłem prawie siedemdziesiąt kilogramów. Zadałem więc cios w wadze lekkośredniej. Burany poturlał się po schodach.

Wróciłem do mieszkania, obszczekiwany radośnie przez Sewerka. Serce biło mi gwałtownie, ale tak jakoś bezboleśnie.

Nie jest jeszcze ze mną tak źle — myślałem podniecony. — Zwalić z nóg taką górę mięsa... Mógł to być co prawda przypadek, ale pamiętam, że mój prawy prosty bywał kiedyś groźny dla świetnych skądinąd zawodników w klubie. Odechce się szczeniakom nieproszonych wizyt Mam jeszcze w zapasie dżudo. Nie byłem i w tej dyscyplinie najgorszy. Oczywiście Hanka nabajdurzyła, ile wlaźło. To do niej podobne. Zawsze była mitomanką. Wrak pełen złota. Idiotka!

Z ciężkim jednak sercem łąziłem z Sewerkiem po deszczu. Nieważne przecież, co ten Burany opowiada, ale przykro odczułem nielojalność Hanki. Żeby zadawać się z takimi pętakami i jeszcze rozmowy na mój temat. Nie puszczać tego płazem — postanowiłem twardo.

Na drugi dzień wybrałem się spacerem aż na Stare Miasto. We wrześniowym zmierzchu okna naszej facyjaty były prawie niewidoczne. Wyłączono im światło i gaz — pomyślałem mściwie.

Nagle uprzytomniłem sobie, że dałem się nabrać jak idiota. Te wszystkie brednie, wymyślone przez Burnego i jego kompanów, miały na celu zdyskredytowanie Hanki w moich oczach. Tylko na co oni liczyli? Niepojęta dla mnie logika! Zachichotałem głośno, aż przechodząca obok dziewczyna zajrzała mi w twarz. Przyspieszyłem kroku, ale dziewczyna była dość natrętna. Zerknąłem w bok. Ogromny kapelusz, długa spódnica, aplikacje z aksamitu.

— Nie przeszkadzam? — głos dziwnie znajomy. Szarpnąłem się niechętnie. Przede mną stała Kinga, a właściwie porucznik Borzęcka. Ach, jaka śliczna! To już nie chłopczyca w dżinsach i z dziadowską dżinsową torbą przewieszoną przez ramię. Niepojęte są dla mnie te dzisiejsze dziewczęta. Niepojęta moda.

— Jak wypadła lustracja? — spytała już normalnym głosem.

— Cudownie, ale swoją drogą wystraszyła mnie pani śmiertelnie, ogromnie nie lubię być podrywany na ulicy.

— Jest pan bardzo staroświecki panie... Sewerynie.

— A... jestem — powiedziałem zgodnie.

— Szlam za panem od Krakowskiego Przedmieścia, daleko pana zagnało, aż pod malarską facjatę.

— Już pani wie, że tu mieszkalem,

— Tak. Wiem nawet, z kim, wiem, kto teraz tutaj mieszka. — Parsknęła śmiechem. — I pomyśleć, że gdybym nie u-rwała się z randki, n pan w mojej najnowszej świątecznej kreacji.

— Pani Kingo, dlaczego mnie pani śledzi? — zapytałem łagodnie. Patrzyłem w jej lekko skośne, zielone oczy. Były czyste, naiwne, trochę w nich oburzenia, a trochę obrazy. Wszystko, jak trzeba.

— Bardzo pan podejrzliwy... a ja naprawdę zostawiłam chłopca w kawiarni „Nowy Świat”.

— Biedny kapitan Białowiejski — westchnąłem fałszywie,

— Nie z tej branży. Malarz, grafik właściwie. Bardzo zdolny i bardzo nerwowy.

— Jeszcze jeden z tej branży pieczeniarczy — skinąłem głową w kierunku facjaty.

— Jaki pan nietolerancyjny. Ten mój to wartościowy, ciężko pracujący i ogromnie ambitny chłopak — zacietrzewiła się gniewnie.

— A „moich” pani zna?

— Znam — odpowiedziała krótko. Nie zapytałem o Hankę. Było mi jakoś głupio. Miałem co prawda nagłą ochotę opowiedzieć jej o wizycie Buranego, ale musiałbym mówić i o Hance.

— Podobno Burany strasznie się odgraża.

Ta mała diablica czytała w moich myślach.

— Kto pani o tym mówił? Burany?

— Nie, Staszek... Staszek Grzelak, ten z kawiarni.

— Boże, jakaż ta Warszawa mała — westchnąłem żartobliwie. — Dokąd panią odprowadzić?

— Sady Żoliborskie. Nie, niech się pan nie obawia. Wsiadam przy Miodowej do taksówki. Nie pojedę w tej długiej, staroświeckiej kiece autobusem.

Odprowadziłem ją do postoju.

— Jacek się do pana wybiera w przyszłym tygodniu — przypomniała sobie nagle.

— O, to mnie pani ucieszyła!

— Dlaczego nie lubi pan kapitana Białowiejskiego?

— A dlaczego pani go lubi? — odwróciłem pytanie.

— No wie pan! To świetny oficer śledczy. Stary bardzo go ceni, a sprawę Szwedki rozpracowuje znakomicie. Moja jest o wiele gorsza, żadnych świadków, żadnych poszlak, chyba się na niej przejadę — mówiła zmartwiona.

— A mąż Jagielskiej? Był głównym podejrzanym.

— Odpadł na amen.

Parsknąłem śmiechem. Powiedziała to tak komicznie.

— Ile pani ma lat, pani Kingo? — spytałem nagle.

— Dwadzieścia pięć... a bo co? — uśmiechnęła się kpiąco. — Jeśli zechce się pan jeszcze czegoś o mnie dowiedzieć, odpowiem osobiście. Pewnie przyjdę do pana z Białowiejskim — rzuciła wsiadając już do taksówki.

ROZDZIAŁ IV

Tak naprawdę to spotkania z tymi z Pałacu Mostowskich budziły we mnie zniecierpliwienie. Sprawa Szwedki i śledztwo wokół morderstwa Jagielskiej przestały mnie jakoś obchodzić. Może sprawiły to listy od Burskiego i Goldmana, bo wszystkie moje myśli, nieomal obsesyjnie, obracały się wokół Hanki. A Goldman też napisał z Nowego Jorku, widocznie wyjechali jednak razem z Waszyngtonu. Cyryl w swoim liście tak jakby się tłumaczył, bardzo zresztą niezręcznie.

...co prawda nie umawialiśmy się, ale czuję się w obowiązku zawiadomić Pana, że z Hanką wszystko w porządku. Pobyt nasz w Stanach chyba się przedłuży, bo dostałem forszę od wuja i jakiś czas uda nam się tu przetrwać, a co najważniejsze coś niecoś zwiedzić. Hanka nie ma zresztą ochoty jeszcze wracać, wale się nie dziwię, ma duże kontakty towarzyskie (nawet w Waszyngtonie spotkaliśmy jakichś Waszych wspólnych przyjaciół), aż zadziwiające, biorąc pod uwagę, że to Jej pierwszy pobyt w Stanach, ale przecież włóczy się co roku po świecie, nabierało się więc trochę znajomych. Inna rzecz, że strasznie mała jest ta nasza planeta, gdziekolwiek się pojedzie, wszędzie ma się przyjaciół, szczególnie Hanka, która bardzo łatwo nawiązuje kontakty, w czym jej niewątpliwie pomaga znajomość języków obcych. Ja przy niej oczywiście dużo z tego powodu korzystam, chociaż nie wszyscy jej znajomi wzbudzają we mnie zachwyt. Miałem nawet parę dni temu w Waszyngtonie maleńką scysję z zaprzyjaźnionym z nią Francuzem — oberwałem nieźle — ale dobrze mi tak, bo po pijanemu lepiej nie rozrabiać, zwłaszcza w takich spelunkach jak ekskluzywna knajpa pana Ogórka. Tak czy inaczej, może być Pan spokojny, że Hankę do Polski dowiozę.

Musiał, biedak, naprawdę solidnie narozrabiać, skoro natychmiast napisał ten list. Chciał zapewne uprzedzić relację Hanki. Tylko że pan Goldman nie wie, że Hanka nie ma zwyczaju mi się zwierzać z czegokolwiek — pomyślałem smętnie. Ale tylko chyba mnie jednemu, bo Goldman wie o niej sporo. Ta beczelna wzmianka o jej matce... Mógłbym co prawda sprawdzić łatwo, ale po kiego diabła miałbym wprowadzać kogokolwiek w rodzinne sprawy, a szczególnie milicję.

Zresztą nawet gdybym przełamał opory i dla zaspokojenia swojej niezdrowej ciekawości poprosił o sprawdzenie tych plotek chociażby... Kingę Borzęcką, popatrzyłaby na mnie jak na wariata, a po drugie, co bym jej powiedział? „Proszę pani... moja wieloletnia przyjaciółka nie mi właściwie nie mówiła o swojej matce poza tym, że była Francuzką i że po wojnie została w Polsce... Czy mogłaby pani sprawdzić, tak prywatnie, ile prawdy zawierają insynuacje pana Goldmana?” Idiotyczne! W życiu bym z tym nie poszedł do nikogo, a zwłaszcza do milicji.

Żyje co prawda Hanki ojciec — rozmyślałem dalej — ale wiem, że od lat nie utrzymuje z nim kontaktu, chyba że stryj...

Stryj! Przecież mogę odwiedzić starszego pana pod pretekstem pozdrowień od Hanki. Nigdy co prawda z nim nie rozmawiałem, widziałem go z daleka, ale wiem, gdzie mieszka. O ile mieszka jeszcze na Lwowskiej. Starzy ludzie niechętnie przenoszą się ze starych przedwojennych kamienic, cudem ocalałych w powstaniu.

Chciałem już dawno poznać kogoś z rodziny Hanki, sam — kompletny sierota — marzyłem nieraz o krewnych, o tradycyjnych świętach w dużym gronie rodzinnym.

— Wybij to sobie z głowy, Sawa! — powiedziała Hanka.

To było dwa lata temu, odwiedziłem w szpitalu na Koszykowej Andrzeja Kłosowskiego. Poparzył się fatalnie i wyprawiał z nim cuda najznakomitszy chirurg plastik dr Stanisław Lisicki. Kłosowski po wielu operacjach zyskał nawet na urodzie, Lisicki... nie żyje. Długo nie mogłem uwierzyć w jego nagłą śmierć, był taki jeszcze młody. No cóż, mnie to też groziło, w porę wycofano mnie z czynnego życia. Tylko jak długo tak można żyć...

Ale wtedy nie przeczuwałem jeszcze swego losu, chociaż serce boleśnie dawało o sobie znać od paru lat. Mówiłem o tym nawet Lisickiemu, którego poznałem przy łóżku Andrzeja. Doktor wiele lat znał prywatnie Kłosowskiego, tego dnia nie operował, wpadł do niego na pogaduszki. Byłem oczarowany tym człowiekiem, wyśmiał moje sercowe kłopoty, rozgadał się i tak jakoś sobie przypadliśmy do serca, że Lisicki, który od godziny wybierał się na obiad do domu, wyszedł wreszcie razem ze mną i szliśmy spacerem koło Koszyków aż do Lwowskiej. Byłby mnie pewnie odprowadził na Górnośląską, ale właśnie wtedy zobaczyłem Hankę.

Wyszła z bramy razem z siwym, wysokim panem. Pomachałem jej ręką, Hanka szybko pożegnała swego towarzysza i podbiegła do nas.

— Co za spotkanie, Sawa! Sądziłam, że pracujesz! — powiedziała z pretensją w głosie.

— A ja... że siedzisz w domu i malujesz — roześmiałem się z jej oburzenia.

— Musiałam wpaść do stryja... ciotka ostatnio choruje.

Bardzo się wtedy zdziwiłem, bo nigdy o nich nie słyszałem, ale nie wypadało podnosić tej sprawy przy doktorze, przy tym. zorientowałem się, że Hanka czuje się coraz bardziej nieswojo pod badawczym spojrzeniem Lisickiego. Ze szczególną uwagą oglądał jej nos. Milczałem ubawiony, w końcu Hanka nie wytrzymała.

— Przepraszam, ale jeśli mnie pan już dokładnie zlustrował, to będą musiała panów pożegnać, bo muszę wracać na Stare Miasto — powiedziała niegrzecznie.

Lisicki roześmiał się, uradowany jej reakcją.

— Niech pani wybaczy moją obcesowość, ale Seweryn nie zdążył panią uprzedzić, że moją pasją jest chirurgia plastyczna.

— Chciałby pan coś ulepszyć na moim obliczu?

— Niestety nie... i nie daj Boże, aby pani kiedykolwiek przyszło do głowy coś w tej twarzy zmieniać.

— A widzisz, Sawka, zawsze mówiłam, że jestem piękna — roześmiała się wreszcie Hanka. — Chociaż wie pan, panie doktorze, od dziecka marzyłam o prostym, filuternym nosku.

— Ja głównie operuję ludzi po wypadkach, ale nieraz myślę sobie, że polowa mijanych na ulicy osób mogłaby stać się moimi pacjentami, bo ludzie powinni być piękni, proszę pani, pozbyliby się wielu kompleksów...

— Ja tam wolę brzydali — przerwała energicznie moja ukochana i złapała mnie pod rękę. Byłem jej za to bardzo wdzięczny, ale nie zdołałem jej namówić, żeby wróciła ze mną na Górnośląską.

— Nie mogę, Sawa — tłumaczyła po odejściu Lisickiego. — Przecież muszę w końcu przenieść resztę rzeczy na Górnośląską. Oni na mnie czekają...

— Czekają na twoje mieszkanie — powiedziałem sarkastycznie — zresztą nie warto o tym mówić.

— Nie warto — zgodziła się ze mną.

— Szkoda, Hanko, że nie wiedziałem, że wybierasz się na Lwowską, wstąpiłbym po ciebie — zacząłem po chwili, aby przerwać niemiłe milczenie. — Przy okazji poznałbym wreszcie kogoś z twojej rodziny.

— Nie masz czego żałować, Sawa... Im dalej od rodziny, tym lepiej — ucięła ostro i zaraz dodała zaglądając mi w oczy. — Zresztą jeszcze zdążymy, jak urządzimy się na nowym mieszkaniu. Przecież na Stare Miasto nie wypadało mi ich zapraszać.

— Hanka — powiedziałem uroczyście. — Od początku proponuję ci małżeństwo... ale ty to z roku na rok odkładasz.

— Daj spokój, Sawa. Źle nam razem? Teraz oczywiście przed wyjazdem do Włoch musimy zalegalizować nasz związek, bo nie mogłabym z tobą wyjechać — dorzuciła ironicznie.

— Tylko... dlatego?! — zachnąłem się głęboko dotknięty.

— Oj, Sawka! Nie masz za grosz poczucia humoru, przecież wiesz, czemu od czterech lat nie możesz się mnie pozbyć — zajrzała mi przymilnie w oczy.

Odtajałem z miejsca, ale powiedziałem jeszcze, aby zachować twarz;

— A jednak wydaje mi się nieraz, że chętniej przebywaś z tą swoją malarską bracią niż ze mną.

— Oni, Sawa, to co innego. Jeszcze jakiś czas... Jak wyjadę, odetnę się od nich, od tego przeklętego kołowrotu. Tymczasem oni mnie potrzebują.

— Maniaczka! — mruknąłem. — Doskonale dadzą sobie radę bez ciebie.

Udała, że nie słyszy. Nie wracaliśmy potem do rodzinnych spraw, zresztą rychło zachorowałem, wyjazdowe plany spaliły na panewce, o ślubie znów jakoś nie było mowy, Hanka szykowała skrzydła do kolejnego odlotu za granicę. I był już teraz Goldman. Realne zostało tylko to mieszkanie) w którym teraz tkwię samotny jak palec.

Zdecydowałem się błyskawicznie. Nie zważając na skomlenia Sewerka zamknąłem starannie drzwi i pognąłem w stronę Alej Ujazdowskich. Dosyć tego oczekiwania na listy, dosyć tego gnicia w domu, Sewerynie, mówiłem do siebie, podtrzymując się w powziętej decyzji. Trzeba postawić Hankę przed faktem dokonanym. Nie wypada, mieszkając w jednym mieście, nie nawiązać kontaktu z jedynymi krewnymi, jakich posiadamy. A że głównie lecę na Lwowską, przełamując swoją wrodzoną nieśmiałość, aby pogadać z kimś życzliwym o Hance, przychodziło mi oczywiście do głowy, ale udałem sam przed sobą, że nie o to chodzi.

Po drodze uświadomiłem sobie nagle, że nie znam adresu. Pamiętam tylko dokładnie bramę, z której wówczas ze stryjem wychodziła. Ale przecież dozorca, rozumowałem logicznie, zna swoich lokatorów, w najgorszym razie dowiem się w administracji.

Zamyślony, gadający niemal do siebie, mało nie wpadłem pod samochód już przy czerwonym świetle. Cofnąłem się więc na krawężnik, zerkając przytomnie, czy nie grozi mi mandat. I nagle przetarłem oczy. Wśród grupy ludzi przechodzących jezdnię Pięknej dojrzałem Cyryla. Miał na głowie duży baskijski beret. Twarzy z daleka nie widziałem, ale poznałem go po sylwetce, po sposobie wysoko trzymanej głowy. Nim przebiegłem Aleje Ujazdowskie, on już szedł Piękną po drugiej stronie Alej. Zrobiłem kółko, klnąc światła, a kiedy dotarłem do Łazienek, właśnie zniknął w jednej z pierwszych bram parku. Wpadłem do ogrodu z takim impetem, że mało nie wysadziłem z siodelka jakiegoś malucha na rowerze. Zanim go pozbierałem i udobruchałem rozwścieczoną matkę, Goldman znikł mi z oczu w bocznej alejce. Nie kryjąc się biegłem za nim, marząc, aby go wreszcie dopaść i zapytać o Hankę.

Alejka była mroczna i pusta. Chłodne lato skupiało ludzi głównie w nasłonecznionych miejscach. Przedarłem się więc na prześwitującą słońcem polankę.

Jest! Siedział tyłem do alejki, z której wyszedłem. Pochylał się w tym swoim śmiesznym, ogromnym berecie do kogoś siedzącego obok.

Widocznie zdążył na spotkanie — pomyślałem z sympatią. Gotów byłem go nagle polubić. — Trudno, przywitam się z nim tylko i zaproszę do siebie, nie będę mu teraz zawracał głowy — postanowiłem szlachetnie.

— Cześć, Cyryl! — powiedziałem zatrzymując się znienacka przed ławką. Stałem tak chwilę z głupią miną, tamci patrzyli na mnie ciekawie, wreszcie odezwała się dziewczyna.

— Pan go chyba wziął za kogoś innego...

Rudawy, młody człowiek w baskijskim berecie uśmiechnął się sympatycznie.

— Niech się pan nie przejmuj... pomyłki ludzka rzecz!

Nie pamiętam, jak przeprosiłem, czy w ogóle przeprosiłem, wracałem otumaniony na Górnośląską, klnąc w duchu siebie i własną wyobraźnię.

Drugi raz zrobiłem z siebie idiotę. Wtedy w Kazimierzu, tuż po zabójstwie Szwedki, przysięgłbym, że to Cyryl, teraz goniłem za facetem święcie przekonany, że tym razem to na pewno on.

— A więc to tak, Sewerek — powiedziałem na przywitanie do szalejącego z radości pudła. — Wybie-
rzemy się do psychiatry!

ROZDZIAŁ V

— Z Białowiejskim zobaczyłem się jednak wcześniej, niż myślałem, że będę musiał. W sobotę o ósmej rano zadzwonił do mnie, zapraszając do Pałacu Mostowskich. Mówiłem mu o obietnicy danej Zycie Maciakowej, o Kazimierzu, że na mnie czekają.

— Tak, rozumiem. Nie fatygowałbym pana, ale zaszły nowe okoliczności — mówił sucho, nieprzyjemnie.

— Oj, nie lubi mnie ten urodziwy kapitan, nie lubi — wyrzekałem w duchu, telepiąc się tramwajem do komendy.

Na korytarzu natknąłem się na Jurka Marciniaka. Nie widziałem RO chyba z dziesięć lat. Okrągły, łysy, ale po dawnemu wesolutki jak szczygiełek.

— Seweryn, jak Boga kocham! Co u ciebie, bracie... Wyglądasz świetnie, a już cię kładli do trumny.

— Tak to bywa — uśmiechnąłem się krzywo. — A co z twoimi studiami? — zapytał ostrożnie.

— Myślałem, bracie, że ducha wyzionę, zanim wydusiłem ten dyplom. Kiedyś to byłoby wstyd, pięćdziesiątka na karku. A dzisiaj wóz albo przewóz. No, ale na szczęście już to mam za sobą... Ale ja gadu, gadu, a ty pewnie się spieszysz. — Teraz już tak, gdzie urzęduje kapitan Białowiejski?

— Do Jacusia się wybierasz'? — wybuchnął nowym entuzjazmem. — Ma ten pistolet za swoje. Tam dzisiaj sądny dzień. Stary szaleje od świtu. Odłóż wizytę, radzę ci.

— Nie mogę. Dostałem wezwanie.

— Ty?! Wezwanie?

— I wyobraź sobie, że chyba jako główny podejrzany -- powiedziałem ponuro.

— Nic się nie zmieniłeś. Seweryn! — zarżał radośnie, klepiąc mnie po plecach. Chybabym się nie zdołał uwolnić od niego, gdyby właśnie nie wyszedł na korytarz Białowiejski.

Przywitał mnie sztywno, po czym zaprowadził do swego pokoju.

— Przepraszam pana, ale chciałbym zadać panu parę pytań. Sprawa Szwedki ma się ku końcowi, muszę mieć formalne zeznanie. Mam wszystkich świadków, ale trzeba, aby pan swoje zeznanie również podpisał. Nie ma pan nic przeciwko tym formalnościom, prawda?

Zeznałem więc jeszcze raz od początku. Protokolant stukał na maszynie, magnetofon był włączony, wszystko, jak należy. I potem padło pytanie.

— Czy znał pan zamordowaną szwedzką obywatelkę Gunnar Brikson?

— Nie i nigdy jej przedtem nie widziałem.

— Czy nikł z pana przyjaciół, z bliskich również się z nią nie zetknął?

— Nie sędzę. Zresztą nie wiem. Nic mi w każdym razie o tym nie wiadomo.

— A Hanna Rut, pana... narzeczona?

— Co Hanna Rut?

— Czy pani Hanna Rut nie znała Gunnar Brikson?

— Panie kapitanie! Hanka wyjechała z kraju na wiosnę i dotąd nie wróciła. A w zeszłym roku? Nie wiem. Nie musiałem, na szczęście, wiedzieć o wszystkich jej znajomych.

— Nie znała również redaktor Jagielskiej ?

— Jednak łączycie te dwie sprawy?

— Proszę odpowiadać na pytanie.

— Nie! Przynajmniej nic o tym nie wiem!

— Niech się pan nie denerwuje. Jest pan świadkiem. Ważnym świadkiem, a podejrzanych mamy parę osób. Może ktoś z rodziny Maciaków znał Gunnar Brikson? To pańscy przyjaciele, prawda? Szwedka bywała w Kazimierzu. Może Maciakowie ją znali?

— Wątpię... Kiedy im opowiadałem o tym zabójstwie, nie wykazali szczególnego zainteresowania. Inaczej by zareagowali, gdyby chodziło o kogoś znajomego. Tak przypuszczam.

— Z kim pan rozmawiał tu, w Warszawie, na temat śledztwa prowadzonego w sprawie Brikson?

— Z panem i z porucznik Borzęcką.

— Słusznie... Ale może jeszcze z kimś?

— Chyba z nikim... Zaraz, wspomniałem coś Zycie.

— Doktor Maciakowej? Kiedy?

— W czwartek, tak, w czwartek w nocy. Przyjechała prosto z dyżuru. Chciała umówić mnie na dzisiaj do Kazimierza.

— Czy wspominał jej pan o kolejarzu?

— O jakim znów kolejarzu?!

— Pracownik PKP, Tadeusz Barański. Musi go pan pamiętać. Był również przesłuchiwany razem z panem i innymi osobami bezpośrednio po morderstwie.

— Tak... pamiętam, ale nie wiem, czy wspominałem o tym Zycie. To o nim mi pan mówił, że zaważył Szwedkę jeszcze na Centralnym?

— Tak... Widział, jak z kimś rozmawiała. i żeby dalsze moje pytania nie wydawały się panu dziwne, powiem od razu, o co chodzi. Wczoraj po południu w toalecie na Dworcu Centralnym znaleziono kolejarza Tadeusza Barańskiego z nożem w plecach.

Przez chwilę siedziałem jak skamieniały.

— Straszne! — wyjąkałem po chwili. — To na pewno nie przypadek, trzy morderstwa w ciągu tygodnia! Śmierć Jagielskiej musi się jednak jakoś wiązać z tą koszmarną sprawą.

Poczułem się nagle bardzo zmoczony.

— Czy mogę już wracać do domu? — spytałem podpisując zeznania. — Ale z Warszawy pewnie nie powinienem wyjeżdżać?

— Chce pan jechać do Kazimierza?

— Tak, chyba pojedę. Nie mógłbym usiedzieć teraz w moim pustym mieszkaniu.

— Spotka pan tam porucznik Borzęcką — rzucił od niechcienia i zanim zdążyłem zareagować, dodał. — A nie interesuje pana, w jaki sposób zginął Barański?

— Owszem ale wolę nie wiedzieć, bo mi pan potem zacznie imputować, że komuś zdradziłem tajemnicę śledztwa.

— To nie tajemnica. Mówiłem już panu, że dostał nożem w plecy i to bardzo precyzyjnie, bo cios dosięgnął serca.

— I oczywiście nikt nic nie wie, a człowiek ginie w biały dzień — powiedziałem z ironią.

— Coś już mamy. Na godzinę przed zabójstwem ktoś telefonicznie o niego pytał. Podobno kobieta.

— Czyli nie morduje jedna osoba, tylko cały gang! Jak tak dalej pójdzie, to zanim kogoś aresztujecie, zginie jeszcze parę osób! — wrzasnąłem zdenerwowany. — Bo wydaje mi się, kapitanie, że bez względu na

to, jak błyskawicznie pracujecie, morderca jest szybszy. A zostało jeszcze parę osób, które dobrowolnie świadczyły w sprawie Szwedki.

Przerwałem zadyszany. Na biurku zadzwonił telefon.

— Chwileczkę — powiedział Białowiejski z uśmiechem.

Widziałem, jak uśmiech zamiera na jego przystojnej twarzy.

— Tak, tak, rozumiem... Nie, nie wyszedł. Tak jest, obywatelu pułkownika.

Chwilę milczał. Tymczasem wściekłość moja opadła. Poczułem się apatyczny, ale i głodny. Nie jadłem śniadania. Podniosłem się z krzesła. Młody protokolant przyglądał mi się ciekawie Zza swojego biurka. Białowiejski wstał również. Wyglądał staro.

Chyba nie jest jednak dużo ode mnie młodszy — pomyślałem niegodziwie.

— Miał pan rację — powiedział kapitan. — Morderca jest szybszy.

Zdrętwiałem.

— Markowska? — spytałem niemal szeptem.

— Nie! Ta mała z pociągu, ta z pana przedziału. Ktoś ją ogłuszył i zepchnął do Wisły.

Wlokłem się do domu w ponurym nastroju. Dziewczyna była pod opieką własnego ojca — jak mi wyjaśnił kapitan. A jej ojciec to sierżant MO z Puław. Miała chłopaka w Kazimierzu i ciągle były z nim awantury. Ojciec zabraniał spotkań, bo chłopak — jakiś miejscowy chuligan. Mała Woźniakówna to ważny świadek, podobno ona wiedziała czy widziała. Tego mi Białowiejski wyraźnie nie powiedział, ojciec doniósł o tym swoim przełożonym i na rozkaz władz śledczych nie odstępował jej na krok. Dziewczyna jednak była sprytniejsza, wymknęła się do Kazimierza. Znalaziono ją w Wiśle.

Zostałem tylko ja — myślałem smętnie. — Były co prawda jakieś inne osoby. Markowskiej pilnuje porucznik Borzęcka... Kto tam jeszcze? — biedziłem się w myślach.

Przed domem przydybała mnie pani Janicka. Mieszkała na parterze i miała świetny punkt obserwacyjny. Nie wykazałem ochoty do rozmowy, ale to jej nie zniechęciło.

— O, jak dobrze, że pan wrócił. Zaraz oddam klucze. Posprzątałam wcześniutko, wolę, jak pana nie ma. Nawet pokój pani Hanki — trąkotała z przejęciem.

— Pani Rut nie lubi, jak ktoś sprząta w jej pracowni — powiedziałem zmęczony.

— Przecież musiałem trochę wywietrzyć, od dymu aż sino!

— Jak to „od dymu”?

— No, z papierosów! A przy tym znalazłam ten klucz, szukał pan kiedyś klucza...

Obracałem go machinalnie w rękę. Zwykły klucz yale, tylko na śmiesznej drewnianej gruszce. Musiałem go przytaszczyć z jakiejś szatni... Ale kto był dziś w pokoju Hanki? Jak wszedł? Czego szukał w jej pracowni?

— Czy pan się źle czuje? Przyniosę obiad na górę...

— Nie, dziękuję. Położę się trochę.

— Nie może się pan kłaść głodny! Wyleciał pan pewnie bez śniadania, a obiad już gotowy, zaraz stołownicy będą się schodzić.

— Nie, dziękuję pani, wieczorem wyjdę na miasto, to coś przekąszę...

— Zawracanie głowy, jak się za obiady płaci, to trzeba jeść. A nie jedzie pan do Kazimierza?

Odechciało mi się Kazimierza, a najbardziej marzyłem o tym, żeby mnie wreszcie zostawiła w spokoju. Powlokłem się na górę. W pokoju Hanki nie spostrzegłem niczego szczególnego, ale lekki zapach tytoniowego dymu unosił się w powietrzu. Przecież nie mogła zostawić komuś naszych kluczy!

Wyprowadziłem jeszcze Sewerka, a potem zamierzałem przespać się parę godzin. Myśli kłębiły mi się bezładnie. Usiłowałem powiązać wszystkie morderstwa w jakąś logiczną całość.

Morderca usuwa świadków . zeznających w sprawie Szwedki. Dlaczego więc zginęła Jagielska? Podobno ekspedientka Markowska przysięgała na wszystko, że nawet nie wspomniała dziennikarce o zabójstwie Gunnar Brikson. Miała ważniejsze sprawy na głowie. Wtedy na rynku mówiła Jagielskiej, że właśnie dostała list od matki z Białegostoku i że chyba będzie musiała zabrać chore dziecko od dziadków, bo to zawsze najlepsza opieka matki; nie zdążyła jej powiedzieć o Szwedce. Mówiła, owszem, panu Malkiewiczowi.

Malkiewicz, o ile wiem, unikał spotkań z Jagielską. Może więc dziennikarce ktoś inny o tym powiedział? Ale przecież nie było jej w sobotę wieczór w „Piekielku”, a w niedzielę nieomal o świcie wyjechała do Warszawy. Więc może morderca przyjechał do Kazimierza, przypadkowo spotkał tam Jagielską, która na przykład wiedziała o jego wcześniejszych kontaktach z ofiarą, wpadł w panikę i redaktor Jagielska musiała zginąć?

Maciaków nie ma co brać pod uwagę. Cóż za pomysł! Zresztą Paweł był w Kazimierzcu, a Zyta? Zytę nic nie obchodzi, co nie ma związku z Pawłem. Wszystko się kręci wokół niego — po raz pierwszy pomyślałem z niechęcią o żonie przyjaciela. Miała rację Hanka i ten jej Goldman, że takie kobiety są reliktem przeszłości. Obchodzi ją tylko własny pępek, a tym pępkiem jest Paweł. Doszedłszy do tego odkrywczego wniosku, zasnąłem.

Zbudziłem się chyba w środku nocy. Miałem jakiś koszmarny sen, a przy tym zdawało mi się, że ktoś usiłuje otworzyć drzwi. Banda Buranego! — pomyślałem podniecony, mocując się ze szlafrokiem.

Na schodach było ciemno. Zapaliłem światło. U sąsiada jeszcze grało radio, nieraz w nocy wysłuchiwał różnych zagranicznych audycji. Wróciłem na tapczan. Pies ani drgnął, spał jak zabity.

W razie czego — pomyślałem melancholijnie — nie ma co na Sewerka liczyć.

ROZDZIAŁ VI

Wybity ze snu, już o piątej rano, po obfitym śniadaniu, wyruszyłem z Sewerkiem na parogodzinną łazęgę. Wróciliśmy z Wilanowa około dziewiątej. Obłożyłem się książkami i usiłowałem czytać. Koło południa odebrałem telefon.

— Czy mogę mówić z panią Rut? — zapytał dziwnie znajomy bas.

— Pani Rut wyszła do kościoła — odpowiedziałem z ubolewaniem.

— Dokąd?! Milczałem uprzejmie.

— Dziękuję, zadzwonię później — powiedziano mi wreszcie.

— A kto mówi?

Usłyszałem trzask odkładanej słuchawki.

Bardzo się uśmiełem. Byłem pewien, że to ktoś z mansardy ze Starego Miasta. Widocznie już z nimi naprawdę krucho. Może to i prawda, że Hanka im pomagała, ale chyba nie na tyle, żeby utrzymywać kilkoro dorosłych osób. Wyznanie Burany'ego włożyłem oczywiście między bajki, bo skąd by miała tyle pieniędzy? Była suma, ojciec na drugim roku studiów odmówił wszelkiej pomocy. Wtedy zamieszkaliśmy razem w tej facjacie. Nigdy się potem nie mówiło o wyrodnym tatusiu.

A może ojciec się w końcu zreflektował, a Hanka naciągała go bez skrupułów... To do niej podobne — pomyślałem — tylko że tatuś musiałby być bardzo zamożny. Ciekawe, że go nigdy nic nie poznałem, a wypowiedzi Hanki na temat rodziny bywały więcej niż enigmatyczne. Chyba że Goldman? Chwalił się niejednokrotnie swoją bankierską rodziną za granicą. Tylko co by wtedy Hanka robiła u mnie? Nie lubiłem tego przemądrzałego faceta, ale na durnia mi nie wyglądał. Co prawda finansuje ich pobyt w Stanach i Izraelu, bo Hanka miała pieniądze jedynie na Meksyk. Dziwne są między nimi układy; wygląda na to, że nie mogą się bez siebie obejść, ale to nie ma nic wspólnego z seksem. Tak mi się przynajmniej wydaje.

I znów przypominała mi się scena sprzed miesiący. Przyszli na Górnośląską, Goldman i Katarzyna; tych dwoje za moim milczącym pozwoleniem odwiedzało Hankę w naszym nowym mieszkaniu, z pozostałą w facjacie bandą Hanka widywała się na mieście. Cyryl sam się zresztą zaprosił, był dopiero od miesiąca w Warszawie, tak więc uznał, że może jej składać wizyty. A Katarzyna? Zdawałem sobie sprawę, że jeśli chcę Hankę choć trochę utrzymać w domu, muszę przymknąć oczy na tę przyjaźń. A więc przyszła Katarzyna i Hanka zabrała ją natychmiast do swego pokoju.

Rad nierad zaprosiłem Goldmana do mojej dziupli. Cyryl sączył koniak, i rozwalony w fotelu, podtrzymywał konwersację. Nie chciało mi się gadać, przyglądałem się leniwie jego ładnej ciemnej głowic, jasne oczy zmuszały do koncentracji. Słuchając go, w duchu przyznawałem, że jest niegłupi, ogromnie odczytany i cudownie zorientowany w polityce i w międzynarodowej sytuacji.

— Polityka, to moja druga pasja, — roześmiał się, kiedy mu to powiedziałem. — Druga po malarstwie — zastrzegł. — Jak mi się kiedyś znudzi pacykowanie, wezmę się za politykę.

— Hanka twierdzi, wybaczy pan, bo ja sam nie bardzo się na sztuce znam, Hanka twierdzi, że jest pan najzdolniejszym malarzem młodego pokolenia — powiedziałem uprzejmie.

— Dobijam już trzydziestki, są ode mnie młodszy i zdolniejsi. Nie ma się komu nimi zająć... myślę o życiowej krytyce. Ja miałem trochę szczęścia. Studia w Paryżu, to też się u nas liczy, ale tak naprawdę dopiero w Krakowie mnie „odkryto”, tam się łatwiej przebić, mimo wszystko — zakończył skromnie.

— A co pan myśli o Hance? — zapytałem zniechęcony.

— Hanka... cóż. gdyby zajęła się wyłącznie sztuką... Powinna skoncentrować się głównie na rzeźbie... I to kamień, nie drewno. Pasjonuje ją monumentalne rzeźbiarstwo, właśnie dlatego wymyśliła sobie Meksyk, liczy, że może tam uda się jej złapać jakieś zamówienie.

— Przecież pan namawiał ją na ten wyjazd — zdziwiłem się nieprzyjemnie.

— No... ja ten wyjazd... jak by to powiedzieć... uruchomiłem — mówił niedbale.

Nie wiedziałem w końcu, które z nich mówi prawdę.

— Ale niech się pan tak nie przejmuje. Dopilnuję, żeby Hanka nie robiła głupstw — dodał z uśmiechem, choć oczy miał poważne.

Zaniepokoiłem się nagle o Hankę.

— Sądę, panie Cyrylu, że Hanka wyrosła z rodzicielskiej opieki, pomijając już fakt, że często wyjeżdża i to sama... — stwierdziłem zimno.

— No, cóż! Tak naprawdę tej rodzicielskiej opieki Hanka nie miała nigdy, ojciec zajmował się głównie chorą matką, stąd te jej kompleksy na temat rodziny — urwał nagle. W drzwiach mego pokoju stała Hanka; blada, wściekła, z tym swoim uśmieszkiem, który nawet we mnie, mimo że znałem ją tyle lat, budził nieokreślony niepokój.

— Czyżby Cyryl mówił o moich kompleksach?

— A czyżbyś ich nie miała? — odpowiedział wyzywająco, podnosząc się na jej widok. Był cholernie dobrze wychowany, nieomal staroświecki.

— Mam czy nie mam, to moja prywatna sprawa — powiedziała cicho. Oczy miała ściemniałe, ogromne.

I nagle, ku mojemu przerażeniu, rzuciła się na Cyryla. Z trudem uwalniał się od jej rąk, którymi usiłowała dosięgnąć jego twarzy. Stałem jak sparaliżowany, a wariatka, Katarzyna, ułożyła się na moim tapczanie i przyglądała się tej koszarnej scenie bez najmniejszego wyrazu w okrągłych, ptasich oczach.

Goldman z wysiłkiem podniósł się z fotela, niemal dźwigając na sobie wczepioną w niego Hankę. Wyglądał okropnie. Z rozoranego policzka kapła krew na piękną, różową koszulę. Widocznie jednak Hance udało się go drasnąć.

— Niech pan wezwie pogotowie — powiedział zduszonym głosem. — Natychmiast! — powtórzył niecierpliwie, trzymając ją silnie za obie ręce.

Patrząc na nich jak zahipnotyzowany, machinalnie nakręciłem numer, do Hanksi to dotarło, bo zaczęła się jeszcze gwałtowniej wyrwać.

— Nie! Nie! — krzyczała, krzyk jej przeszedł w suchy szloch, Goldman zaaplikował jej w pewnym momencie siarczysty policzek. Opadła bezsilnie na fotel, umilkła nagle i wcisnęła się głębiej, podwinawszy nogi.

Trwaliśmy tak chwilę w milczeniu i wtedy przyjechał lekarz. Po zastrzyku zaniósłem Hankę do jej pokoju. Patrzyłem na nią bezradny i wstrząśnięty. Obaj z Goldmanem wyszliśmy na palcach. Zasypiała. Wtedy dopiero Cyryl zdecydował się wreszcie sobie pójść.

— Przepraszam pana za to niemiłe zajście, Hanka już nieraz urządzała nam takie przedstawienia — mówił z uśmiechem, tak jakby opowiadał ciekawą anegdotę.

— Czy Hanka... może to działanie... — jąkałem się, bojąc się jaśniej wyrazić swą obawę.

— Ach, nie! Mogę pana zapewnić, że to zwykła histeria. Jest po prostu rozwydrzona w nieprawdopodobny sposób. Czy nigdy nie próbował pan się jej w czymkolwiek sprzeciwić? No właśnie, to są skutki zbyt pobłażliwego wychowania — powiedział przemądrzale.

Pożegnałem go grzecznie, a miałem serdeczną ochotę spuścić go ze schodów; znudzona Katarzyna powlokła się za nim.

Rano Hanka już od ósmej była na nogach, siedziała jak zwykle godzinę w wannie, potem usłyszałem jej pogwizdywanie, w salonie jej nie było, zajrzałem niepewnie do kuchni.

— O... Sawa! Bardzo się wczoraj przestraszyłeś? — zapytała pogodnie, podając mi gorącą, przyrumienioną grzanekę.

— No wiesz... nie był to najpiękniejszy widok — powiedziałem ostrożnie.

— Wygarnij mi, Sawa! Wygarnij! Nie bądź taki cholernie elegancki — pogadywała żartobliwie.

Przyglądałem się jej ukradkiem. Krzątała się chwilę w tej swojej kusej piżamce, niecierpliwie odgarniając pasma włosów, które przy każdym pochyleniu falą zalewały jej drobną twarz.

— Wyprowadził mnie z równowagi, rozumiesz? On jeden to potrafi, a ja... ja wtedy nie umiem się opanować.

— A może nie chcesz — stwierdziłem spokojnie.

— Jeśli i ty, Sawka, będziesz przeciwko mnie, to gdzie znajdę swój dom? — powiedziała smutno.

Rozbroiła mnie tym pytaniem. Spędziliśmy potem jeden z najpiękniejszych dni przed jej wyjazdem. Ale wieczorem kazała mi zadzwonić do Goldmana.

— Zrób to dla mnie. Sawa, zachowałam się jak ostatnia chamka...

— Jeśli ci tak na nim zależy, zadzwoń sama, zresztą ja na jego miejscu już nigdy...

— Na szczęście nie jesteś na jego miejscu! — przerwała mi porywczo. — Nie byłoby mnie wtedy przy tobie, Sawka. Czy tego nie rozumiesz?

Mimo to nie zadzwoniłem. Zatelefonowała w końcu sama Hanka. Cyryl nie dał się długo przepraszać, przyjechał natychmiast z plastrem na policzku, przygotował nam nawet na poczekaniu jakąś wściekłą hinduską potrawę. Hanka była w cudownym nastroju i śmiała się tylko z jego zaczepnych pogaduszek.

— Daj spokój, Cyryl. Dzisiaj mnie nie wyprowadzisz z równowagi, zostaw te swoje eksperymenty na Meksyk.

— Banda wariatów — mruknąłem do siebie, obserwując ich przekomarzania.

— Wariatom nie wolno się sprzeciwiać — odpowiedziała, przytulając się do mnie, Hanka. — Rozkazuję więc wnieść toast za zdrowie mego najmilszego!

I Goldman wypił wino z przyjaznym uśmiechem.

A potem podczas pożegnalnego przyjęcia Hanka nazwała mnie wrakiem...

E, do diabła ze wspomnieniami! Trzeba wreszcie coś z tym fantem zrobić — pomyślałem niejasno. — Tyle lat się to ciągnie. A później wezmę się za doktorat — postanowiłem twardo.

Pani Janicka na mój widok, stawilem się na obiad punktualnie, osłupiała.

— Panie Sewerynie, to pan w Warszawie?

— Nie ma pani pewnie dla mnie obiadu? — udawałem zmartwienie.

— Ależ proszę pana, gotuję stale dla piętnastu osób i pana obiad zawsze na pana czeka, ale rano o ósmej byli tu dwaj panowie...

— Do mnie?

— Tak, jeden wysoki blondyn, przychodził już do pana parę razy.

Białowiejski — pomyślałem bez entuzjazmu.

— I pytał o mnie?

— Tak. Powiedział, że się z panem umówił w Kazimierzu, a ja, że widziałam pana zaraz po otwarciu bramy o piątej rano, jak pan z psem wychodził, to pewnie i nie pojechał pan do tego Kazimierza, widocznie nie chciało się panu tłuc w sobotę po południu — trąkotała szczęśliwa, że ją cierpliwie wysłuchuję.

— Czy pani nigdy nie sypia, pani Janicka? — przerwałem łagodnie. Zamrugła białymi rzęsami. — Czy... ci panowie coś mówili? — dodałem pośpiesznie, zanim zdążyła się obrazić.

— Ten wysoki spojrzał na drugiego i powiedział: „Psiakrew, patalachy!” — zawiesiła głos w oczekiwaniu na moją reakcję.

— Dziękuję pani, to ogromnie ważne — powiedziałem wylewnie. Bardzo mi się poprawił humor.

Wprost z obiadu, nie wstępując do siebie na górę, wyruszyłem na Lwowską.

Musiałem w końcu tam dotrzeć. Nie wiem, czego oczekiwałem po tej wizycie. Za wszelką cenę chciałem poznać rodzinę Hanka. Może to sprawiła stale wzmagająca się tęsknota, może dokuczyła mi już samotność. Chyba po prostu chciałem pogadać o Hance, a nuż mają jakąś od niej wiadomość. A zresztą, co tu dużo mó-

wiść, miałem dość całej sprawy Szwedki, dość makabrycznych morderstw i chciałem się ukryć przed Białowieskim. Tam mnie nie znajdą.

Będą mnie teraz szukać w Kazimierzu — myślałem z uciechą. — Zanim się zorientują, że zostałem w Warszawie — a byłem pewny, że zorientują się bardzo prędko — zyskam dla siebie parę godzin.

Miałem dziwne uczucie niecierpliwego pośpiechu w tym poznawaniu Hanki podczas jej nieobecności. Ze strzępów wspomnień, z niedomówień Goldmana zaczęła mi się rysować jej postać realniej niż wtedy, kiedy była ze mną na co dzień. Żyliśmy tak jakoś obok siebie, ona pochłonięta swoimi sprawami, ja zapracowany przez lata, a potem zamknięty w kręgu swojej choroby. Jak w kokonie. Może dlatego Hanka mówiła o mnie — wrak. Może miała żal, że tak mało interesuję się jej życiem.

Mój Boże — żeby ona wiedziała, jak bardzo obawiałem się jej odejścia. Pewnie stąd wynikała i moja poślizliwość, jak mi to wytknął Goldman. Musiałem się więc spieszyć, zanim wróci...

Bramę na Lwowskiej znalazłem nadspodziewanie łatwo. Od dziecka mam znakomitą pamięć wzrokową, na razie zawiodła mnie tylko w przypadku Goldmana, ale ten stał się już moją obsesją, chorobliwą obsesją.

Wybiorę się chyba do lekarza. Bardzo to modne dzisiaj mieć swego psychiatrę — myślałem z wisielczym humorem, studiując listę lokatorów.

Dom był sędziwy, przed wojną należał niewątpliwie do bardziej ekskluzywnych, 7. typowym dla starej Warszawy podwórkiem — studnią. W środku tego kamiennego kwadratowego podwóreczka kapliczka z tandetną, glinianą figurką Matki Boskiej; na widok tej świętej wykrzywionej twarzy od razu poczułem ból zębów. Ale kwiaty w kapliczce były świeże, lampka oliwna paliła się jasnym płomieniem mimo letniego, pogodnego popołudnia.

Ze wspomnień dzieciństwa pamiętam taką mniejszą figurkę w domu mojej babki. Odprawiała przed nią żarliwe modły o szczęśliwy powrót córki z hitlerowskiego obozu i o opiekę nad wojującym w partyzantce zięciem-komunistą.

Wzruszyłem się tymi wspominkami i w jeszcze bardziej minorowym nastroju wdrapałem się na czwarte piętro oficyny, gdzie na drzwiach wisiała poczerniała od starości metalowa tabliczka z napisem: Maria i Marcin Rutowie.

Po chwili dopiero zorientowałem się, że dzwonek nie działa. Zastukałem. Za drzwiami słychać było basowe poszczekiwanie psa, potem ciche, lekkie kroki. Otworzyła mi stara, drobna kobieta, ogromny spasiony bokser rzucił się na mnie, mało nie zbijając z nóg.

— Niech się pan nie obawia, nasz Drab tylko wygląda tak groźnie — odezwała się staruszka patrząc na mnie z pytaniem w oczach. — A pan do kogo?

— Chciałbym się widzieć z panem Rutem — powiedziałem zdenerwowany, obserwując nieufnie majestacyjne odejście boksera w głąb mieszkania.

— Czy to ktoś do mnie, Antosiu? — zapytał męski głos. Od razu poznałem wysokiego, siwego pana, którego kiedyś widziałem z Hanką.

— To właśnie pan profesor — oznajmiła staruszka i wycofała się z przedpokoju.

— Czym mogę służyć? — Rut przyglądał mi się badawczo.

— Ja, panie profesorze... W sprawie pani Rut — powiedziałem.

— Pani Rut? — zapytał ze zdziwieniem

— Tak... Hanki Rut — potwierdziłem pośpiesznie. — Moje nazwisko Kryński. Seweryn Kryński.

— Proszę, niech pan wejdzie — wy prowadził mnie wreszcie z mrocznego, zagraconego hallu.

Pokój, do którego za nim wszedłem, był równie mroczny, ale ogromny. Od drzwi rzucało się w oczy wielkie staroświeckie biurko, zawalone papierami i książkami, książki również na Ścianach, aż do sufitu, wysoka lampa z jedwabnym abażurem, w kącie duży okrągły stół, zresztą wszystko w tym pokoju było ciężkie, monumentalne, parę skórzanych zapadniętych foteli, po lewej stronie biurka wysoki japoński czy też chiński parawan.

— Oto, co zostało z przedwojennego mieszkania — powiedział z uśmiechem, wskazując mi uprzejmie jeden z foteli. Zapadłem się natychmiast tak głęboko, że kolana sterczały mi na poziomie nosa.

— To są fotele-pułapki — stwierdził z humorem stary pan, — Nikt, kto tu usiądzie, nie zdoła się bez mojej pomocy podnieść, dopóki nie wyłuszczy, w jakiej sprawie się do mnie fatygował.

— Nie będzie tak źle, panie profesorze. — Tytułowałem go twardo tak jak owa Antosia.

— Napije się pan herbaty? Kawy u mnie się nie pija, chociaż wy, młodzi, trujecie się tą czarną smołą od świtu do nocy.

— I ja teraz pijam rzadko kawę. Lekarz mi zabronił — pośpieszyłem z wyjaśnieniem.

— Ano właśnie... lekarze — prychnął pogardliwie. — Gdyby nie lekarze, moja Maria żyłaby do dziś, a była, proszę pana, ode mnie dziesięć lat młodsza.

— Bardzo mi przykro — wybąkałem. — Nic mi Hanka nie mówiła...

— Hanka! Nie widziałem jej od dnia pogrzebu... prawie dwa lata. Ciągle gdzieś jeździ. Żona zostawiła jej parę drobiazgów, nie przychodzi. Nasyła mi tylko jakichś przyjaciół...

Milczałem taktownie. Teraz dopiero mu się przyjrzałem. Był bardzo stary, została jedynie znakomita sylwetka i względnie młody głos, ale oczy miał stare, wyblakłe i brązowe plamy na twarzy i rękach.

— Hanka jest za granicą — wtrąciłem nieśmiało.

— Wiem, wiem — przerwał mi niecierpliwie.

— I ja właśnie dlatego pozwoliłem sobie niepokoić, że może pan ma jakieś od niej wiadomości... Do mnie nie pisała od lipca — brnąłem speszony.

— Ano właśnie... przepraszam, młody człowieku, ale powiedział pan: Kryński... nigdy mi o panu nie mówiła.

— Nie mówiła? — nieomal wykrzyknąłem w popłochu.

— Nawet nie wspomniała, ale niech się pan nie przejmuj. To dziwna dziewczyna, ogromnie skryta — powiedział na pocieszenie.

— Panie profesorze. Mieszkam z Hanką siedem lat i jakkolwiek to ona ciągle odwleka datę ślubu...

— Siedem lat, powiada pan, Czyli od śmierci matki.,. Nie! Anna umarła osiem lat temu, siedem lat minęło od wyjazdu jej ojca, a mego zwariowanego bratanka.

— Bratanka?

— Tak, bratanka. Mego rodzzonego brata syn... jedyny syn — powiedział niecierpliwie.

— A więc Hanka...

— Hanka to moja stryjeczna wnuczka.

— Mówiła o panu — stryju!

— Dziwne, bo od dzieciństwa nazywała mnie dziadkiem.

— Nic nie rozumiem — powiedziałem bezradnie.

— Widzę, że nie obędzie się bez nalewki... nie, niech pan nie protestuje... domowa nalewka jeszcze nikomu nie zaszkodziła — powiedział rześko i krzyknął w stronę otwartych drzwi. — Antosia! Karafkę!

Drobna staruszka zjawiała się niemal błyskawicznie, a za nią jak ogromny czołg wtoczył się pies. Popatrzył na nas przekrwionymi żalonymi ślepiami i usadowił się godnie na jednym z foteli. Zdezelowane sprężyny jęknęły pod jego ciężarem.

— A więc jesteśmy w komplecie — oznajmił profesor. — Siadaj, Antosiu... i postaw wreszcie tę butlę — oczywiście, oczywiście, wypijemy razem — przemawiał do niej jak do dziecka. — Brakuje nam tylko kieliszków.

Antosia wybiegła z radosnym pośpiechem.

— Antosia to, przyjaciółka mojej żony. Kiedyś, przed pięćdziesięciu laty przyjechała ze wsi jako służąca, ale to dawno, dawno temu. Nie uwierzy pan, ale to smarkata w porównaniu ze mną. Ma dopiero siedemdziesiąt lat.

— Bardzo miła — zauważyłem z entuzjazmem.

— To dobra dziewczyna. Ma tylko jedną słabość. Sama, broń Boże, nigdy nie pije, ale jak są goście... rzadko co prawda po śmierci Marii... Bo moja żona, proszę pana, była bardzo towarzyska, dawniej wesoło było u nas na Lwowskiej. Tak naprawdę to załamał ją wyjazd Henrysia. Ogromnie go kochała.

— Henrysia. Powiedział pan profesor: Henrysia... — podjąłem ostrożnie.

— No, skosztujmy wreszcie tej nalewki. Antosiu, to jest... mąż naszej Hanny — zwrócił się do staruszki.

— O, mój Boże! I nie zaprosiła na ślub — zapłakała nieomal.

— Proszę pani... ślub był bardzo cichy — bąknąłem, przejęty jej rozpaczą.

— Bo widzisz, moja Antosiu, to był ślub w urzędzie — perswadował profesor, mrugając do mnie wyblakłym okiem.

— Ale prawdziwy ślub będzie w kościele? — dopytywała się z niepokojem. — Sama przylecę, jeśli mnie nawet Hania nie zaprosi — powiedziała buńczucznie.

— Oboje panią zaprosimy — zapewniłem gorąco, chociaż wiedziałem, że żadnego kościelnego ślubu nie będzie.

— Ale Henrysia nie ma — chlipnęła znowu, nalewając sobie drugi pękaty kieliszek domowej cytrynowki.

— No tak... — sposepniał Rut. —Może jednak przyjedzie. Hongkong w końcu nie tak daleko.

— Nie przyjedzie — zawodziła Antosia. — Po śmierci tej Francuzicy... co to za ojciec, zostawił dziecko, powiedział Marii, że już nigdy nie przyjedzie.

— Nie martw się... my sami wyprawimy Hance wesele — zdecydował profesor. — Zdrowie państwa młodych, Antosiu.

Po wypiciu trzeciego kieliszka staruszka nagle zamilkła. Ku mojemu ogromnemu zdziwieniu usłyszałem po chwili cichutkie pochrapywanie.

— Ona tak zawsze, biedulka, nie może już dużo wypić... ale ciągle bardzo lubi. Nie będzie przeszkadzało panu... nie chciałbym przerywać jej snu, bardzo źle w nocy sypia — tłumaczył zmieszany profesor.

Zapewniłem gorąco, że to mnie nawet rozczuła, że kiedyś miałem babkę ogromnie do Antosi podobną i chociaż nie piła, to również tak podsypiała na starość. I tak powoli opowiedziałem Rutowi wszystko o sobie.

— Co pan powie? Już na emeryturze? Popatrz, popatrz... jaka to dzisiaj młodzież, same zdechlaki. Ja do śmierci Marii jeszcze wykładałem na Politechnice. Gdyby był tu ojciec Hanny, postawiłby pana szybko na nogi. To świetny lekarz — dodał w zadumie.

— Dlaczego wyjechał? — odważyłem się wreszcie wypowiedzieć nurtujące mnie pytanie.

— Dlaczego? Zawsze był narwany! Po śmierci Anny zaczęły się scysje z Hanką. Zresztą wiecznie się kłócili, głównie o matkę, ale nie tylko. Henryś miał córce za złe malarskie studia, nie cierpiał jej przyjaciół. Właściwie wszystko miał jej za złe... nawet to, że umarła... tamta... jej matka. Do tego doszło, że winił ją za tę śmierć.

— To okropne, co pan mówi — szepnąłem wstrząśnięty.

— Był opętany na punkcie tej Francuski, woził ją po zakładach, a potem to już zamknął w domu. Podobno wyła godzinami, kiedy nie chciał jej wstrzyknąć tego paskudztwa... Niemcy ją tak urządzili. Eksperymenty. A potem już się nic nie dało zrobić.

— A więc to prawda — powiedziałem bezwiednie.

— Może byłoby lepiej, gdyby umarła w obozie koncentracyjnym — powiedział z goryczą profesor.

— Cóż ty. Marcinku! — oprzytomniała nagle Antosia. Podskoczyłem na dźwięk jej głosu. — Nie byłoby wtedy naszej Hanki — zaśpiewała znów z głębokim oburzeniem.

— No to by nie było. Ta dziewczyna miała piekło, nie dzieciństwo. Chcieliśmy ją zabrać do nas, ale Henryś uważał, że dla matki lepiej, jak dziecko jest w domu.

— Niech pan nie słucha profesora! On tak zawsze... ale oboje z Marią świata za nią nie widzieli...

— Musiał ktoś kochać to dziecko, panie Sewerynie, pozwoli pan, że tak będę pana nazywał?

— A może po prostu Seweryn... Najlepiej Sawka, jak mnie nazywa Hanka.

— Jak ślicznie... Nie było u nas jeszcze w rodzinie takiego imienia — ucieszyła się Antosia.

— Panie profesorze — zagadałem szybko, aby ukryć wzruszenie. — Czy rodzice Hanki poznali się w obozie?

— Na szczęście ominęły go te okupacyjne okropności. Był żołnierzem przez całą wojnę. Początkowo bił Niemców na terenie Rosji, potem wyjechał z oddziałami Andersa na zachód, Monte Cassino — tak jak inni, potem Anglia. Ciężko ranny, wylizał się i kończył studia w Londynie. Po wojnie gdzieś go zanosło do Afryki. Leczył Murzynów. Mało wiem o tym okresie jego życia — mówił zamyślony Rut.

— Do Polski wrócił w pięćdziesiątym. Pamiętasz, był taki opalony, że w pierwszej chwili nikt z nas go nie poznał — rozmarzyła się Antosia.

— Nie. W pięćdziesiątym urodziła się już Hanna — przerwał jej niecierpliwie profesor.

— Cóż ty, kochaneńki... Henryś przyjechał w styczniu, a Hania urodziła się w grudniu tego samego roku. Pamiętasz, jak przywiózł tę swoją chudą żonę z Krakowa akurat na wigilię, a Hania urodziła się trzeciego dnia świąt., tu, u nas na Lwowskiej — zacietrzewiła się staruszka.

— Masz rację, Antosiu. Skleroza czy co? — zdumiał się nad sobą profesor.

— To znaczy, że poznali się w Krakowie? — ponowiłem pytanie,

— Przecież mówię. Wpadł po przyjeździe do nas do Warszawy, potem wyjechał do Krakowa, tam dostał posadę w szpitalu. Namawialiśmy go na Warszawę, nasze mieszkanie cudem ocalało, ale mówił, że musi się prędko urządzić, bo ściąga narzeczoną z Afryki. Przeraziliśmy się z Marią, że to może jakaś Murzynka. Ona tam, biedula, pewnie na niego do tej pory czeka.

— Przecież to nie wina Henrysia, Marcinku. Zawsze mówiłam, że to ta Francuzka...

— Daj spokój, Antosiu. Wojna wszystkiemu winna, wojna! A ty nic, tylko ciągle zwalasz winę na biedną Annę — zirytował się w końcu Rut.

— Mogła przecież po wojnie wracać do tej swojej Francji — upierała się staruszka.

— Może nie mogła, może nie miała do kogo, leczono ją w szpitalu, to i została w Krakowie, pracowała przecież jako pielęgniarzka, nie jadła darmo polskiego chleba.

— I tam się poznali — wtrąciłem domyślnie.

— Przecież cały czas o tym mówię — zdziwił się Rut.

Spojrzałem dyskretnie na zegarek.

— Nie sprawdzaj czasu — powiedział smutno profesor. — Starzy ludzie bardzo tego nie lubią, ja wiem, że wam, młodym, wiecznie się śpieszy...

— Ale skądże znowu! — zaprotestowałem gorąco. — Pomyślałem tylko, że zająłem państwu prawie trzy godziny.

— Od śmierci Marii nie dbamy o konwenanse, prawda, Antosiu? — uśmiechnął się ciepło do staruszki.
— Jak myślisz, Antosiu, puścimy chłopaka?

— Ja myślę, że trzeba szykować kolację. Nasz Sawka pewnie głodny— odpowiedziała rezolutnie i podreptała do kuchni.

— Ot, i widzisz I *Vox populi, vox Dei*— roześmiał się stary. — A teraz pozwolisz, chłopcze, że rozprzestuję gnaty, muszę się tylko wydostać z tego pudła.

Sam z przyjemnością wylazłem z fotela. Stary bokser otworzył jedno oko i zaraz je z godnością zamknął.

— Ma już czternaście lat... — Rut czule poklepał go po potężnym karku. — Mam nadzieję, że razem jeszcze jakiś czas pociągniemy — powiedział w zamyśleniu. — Wtedy nareszcie Antosia wróci do swoich.

— Ma jakąś rodzinę? — spytałem ciekawie.

— Ma, ma! Jedną córkę, ale za nią nie przepada. Chciwa, nieprzyjemna kobieta, za to wnuki bardzo udane. Często do niej nawet zaglądają, o ile tylko któreś z nich ma okazję zahaczyć o Warszawę.

Nie podnosiłem tematu, bo cały pograżyłem się w oglądaniu rodzinnych albumów. Po swoich rodzicach miałem dwie wyblakłe fotografie. Jedną ojca z partyzantki, grupową, i jedną matki, panieńską, jeszcze z grubym warkoczem i w gimnazjalnym mundurku.

— Czy to Hanka? — spytałem, nagle podniecony.

— Tak, to ona. Miała wtedy pięć lat — potwierdził profesor odczytując datę pod zdjęciem.

Mała ciemnowłosa dziewczynka o chmurnych, ogromnych oczach.

— Hanka... podobna jest do matki, prawda?

— Ależ skąd! Wykapany ojciec. Spójrz, to Henryś jako student, tuż przed wojną, ten sam nos, ciemne oczy, nawet ze wzrostu... Jak na mężczyznę bardzo był drobny. Zdjęcia Anny nie mamy, ale to była wysoka blondynka, prawie ruda.

— Dlaczego ojciec Hanki wyjechał, panie profesorze? — zapytałem raż jeszcze.

— Bóg to raczy wiedzieć! — wzruszył ramionami Rut. — Nigdy się córką nie zajmował, a potem, kiedy jako dorastająca dziewczyna zaprzyjaźniła się nagle z matką, zachowywał się co najmniej dziwnie. Zakazał jej kontaktować się z Anną. I wtedy kupił Hance mieszkanie na Starym Mieście. Nie wiem, o co chodziło. Maria twierdziła, że jest zazdrosny, zachłanny w tej swojej miłości do żony. A zresztą żarli się również i po jej śmierci — rozgadywał się stary.

— I w końcu wyjechał... — powiedziałem ze smutkiem.

— Tak, ale bardzo Hankę namawiał, aby z nim jechała, wybierał się początkowo do Afryki, obiecywał studia w Paryżu... Hanka odmówiła kategorycznie, ostatecznie osiedlił się w Hongkongu, często do niej zresztą pisze.

— Nic mi o tym nie mówiła. Nawet nie wiedziałem, że ojca nie ma w kraju — wyznałem z ciężkim sercem.

Rozmowa nasza toczyła się już po kolacji, Antosia pobrzękiwała naczyniami w kuchni. Stary Rut popatrzył na mnie jakoś dziwnie.

— Zdaje się, chłopcze, że nic ci o sobie nie mówiła, ten drugi dużo więcej o niej wie...

— Jaki drugi? — zrobiło mi się gorąco.

— Taki ciemny, młodszy od ciebie. Był u nas przedwczoraj, bardzo mi się podobał. Byłem przekonany, że to on jest właśnie jej narzeczoną, chociaż tego nie mówił — zastrzegł się, widząc moją nagłą bladłość.

— Panie profesorze, jak... jak się przedstawił tamten młodzieniec? — spytałem ochryple.

— Nazwiska nie pamiętam, ale na imię mu Cyryl.

— A więc to on! — powiedziałem głucho.

Jakiż ja byłem głupi! To jego widziałem w Kazimierzu. Wczoraj na ulicy poznałem go również. Tylko jak to było w parku? Widocznie spostrzegł, że za nim biegnę, tamci dwoje na niego czekali. Mógł się schować za drzewa, baskijski beret założył na głowę ten drugi. Zagrali komedię... ale po co?! Straszliwe podejrzenie mało mnie nie zbiło z nóg. To nie przypadek, że Cyryl jest w Polsce, to nie przypadek, że się przede mną ukrywa. Jutro z samego rana pojedę do Pałacu Mostowskich, muszę zobaczyć się z Białowiejskim. Może mi powiedzą wreszcie, jakim torem toczy się śledztwo, może mi powiedzą, czy Goldman znalazł Szwedkę.

— Mógłby mi pan pokrótce opowiedzieć, czego chciał ten Cyryl? — spytałem jeszcze obserwującego mnie bacznie profesora.

— Pytał o Hankę. Kiedy wraca. Był zresztą chwilę, zrobił na mnie bardzo dobre wrażenie, taki kulturalny, dobrze wychowany, czy ty go znasz, chłopcze? — zaniepokoił się nagle Rut.

— Znam. To bardzo... niebezpieczny człowiek.

— No, to chwała Bogu — przeraził się stary — to całe szczęście, że nie zastał Hanki. Dobrze, że dotąd nie wróciła. A co mam mu powiedzieć, gdyby jeszcze raz przyszedł?

— Nic! Że nic nie wiecie o Hance, bo nie pisze, zresztą zgodnie z prawdą. Tylko proszę nie mówić o mnie, że tu byłem, że mnie znacie... To bardzo ważne, profesorze — błagałem. — Ale gdyby przyszedł, natychmiast po jego wyjściu proszę do mnie zatelefonować — mówiłem gorączkowo, zapisując Rutowi swój numer.

— Nie idź, chłopcze, może dziś do domu — powiedział z serdeczną troską profesor. — Nie najlepiej wyglądasz... Nie mam co prawda osobnego lokum, bo po śmierci Mani oddałem jej pokój. Antosia śpi w służbówce, a ja za tym parawanem. Na co mnie, staremu, taki metraż... Ale mam składane łóżko na antresoli.

Podziękowałem gorąco, stanowczo się jednak wymówiłem.

— Mam parę kroków na Górnośląską. I dziękuję za wszystko... Jestem bardzo szczęśliwy, że was odnalazłem, czuję się tak, jakbym nareszcie i ja miał rodzinę.

Obaj ze starym byliśmy szczerze wzruszeni, wracałem późnym wieczorem z sercem ciężkim jak ołów, jeszcze potem długo w nocy laziłem z Sewerkiem po ociemniałych ulicach.

Jeśli to on, to dlaczego... dlaczego? Przecież muszą być jakieś motywy! A że znał Jagielską, tego byłem niemal pewny, kiedyś opowiadał mi, że zna połowę ludzi z telewizji.

Nie wracaj, madonno — modliłem się w duchu do Hanki. — Siedź jak najdłużej, gdziekolwiek jesteś. Dopóki się to nie wyjaśni...

Po powrocie do domu z trudem zapadłem w pełen koszmarów sen.

ROZDZIAŁ VII

Chyba bardzo szybko zbudziło mnie łomotanie do drzwi. Wyrwany z pierwszego, głębokiego snu stoczyłem się z tapczanu. Przerażony Sewerek ujadł wściekle. Ledwo uporałem się z zamkiem, do pokoju wtargnęła Zyta. Gdybym nie był taki śpiący, pewnie przeraziłbym się jej wyglądu... Śmiertelnie blada, z rozwianym kokiem, z płonącymi oczyma.

— Co ty wyprawiasz, Zyta, budzisz cały dom o świcie — wymamrotałem, drepcząc z powrotem na tapczan.

— Jaki świt, do cholery, godzina jedenasta! — wrzasnęła zdzierając ze mnie kołdrę. — Wstawaj, Seweryn! Pawła aresztowali!

Trzeba było chwili, aby to do mnie dotarło.

— Co ty pleciesz — powiedziałem niechętnie.

— Dzisiaj rano, byłem już w szpitalu, zadzwoniła Krysia, powiedziała, że Pawła wzięli...

— Zadzwoniła z Kazimierza?

— Nie, z domu, od nas!

— To skąd ona, do diabła, wiedziała, co się stało w Kazimierzu?

— W jakim Kazimierzu! Sawa, ja oszaleję, rób coś, jedź do nich, jesteś jego przyjacielem, znasz tych z Pałacu Mostowskich, sam opowiadałeś o jakimś kapitanie...

— Spokojnie. Zyta — z trudem uwolniłem się z jej rąk. Wyglądała jak Walkiria w ataku furii. — Spokojnie, Zyta, nigdzie nie pojedę, dopóki mi wszystkiego nie opowiesz po kolei.

Siadła ciężko na tapczanie, przezornie przeniosłem się na fotel.

— Chcesz kawy? — spytałem.

— Nie... — dławili ją łzy.

— Słuchaj, moja droga, albo teraz zaczniesz babskie histerie i ja umyвам ręce. albo spokojnie mi opowiesz, co się stało naprawdę.

Dałem jej papierosa, zaciągnęła się głęboko.

— Byłaś w Kazimierzu w sobotę i niedzielę? — zacząłem.

— Byłam, pojechałam z dziećmi, bo ty w ostatniej chwili... Pawła nie zastaliśmy w chałupie, pokazał się około pierwszej.

— Wiesz, gdzie był?

— Nie wiem, chodziłam po Kazimierzu, szukałam. Jak wróciłam koło pierwszej, siedział już w domu. Potem całe popołudnie czekaliśmy na ciebie. Aha, słuchaj. Sawa, była u nas jakaś dziewczyna, śliczna dziewczyna, pytała o ciebie — ożywiła się na chwilę. — Nie domyślasz się, kto to?

Kinga, porucznik Borzęcka...

— Może i domyślam się, ale to nieważne, mów dalej.

— Potem, w niedzielę rano, Paweł dzwonił do ciebie, nikt nie odbierał telefonu. Był niespokojny, o ósmej rano ciebie już nie było w domu... — powiedziała z pretensją w głosie.

— Wyszedłem na spacer — odpowiedziałem uspokajająco.

— Tak też tłumaczyłam Pawłowi, ale całą niedzielę mieliśmy popsutą przez ciebie — dodała gorzko.

— No wybacz, moja droga, byłaś z mężem i dziećmi...

— Tak, ale nasz nastrój udzielił się i dzieciom, siedziały markotne, Paweł nie chciał się z nimi bawić. Po południu zabrałam się z nimi z powrotem. W ostatniej chwili Paweł zdecydował się jechać z nami do Warszawy. Wieczorem znów do ciebie dzwonił, już po przyjeździe.

— Nie było mnie w domu — powiedziałem wymijająco, zły, że tak się tłumaczę.

— Nie musisz się wściekać. — Wydawała się już spokojna. — Mam opowiadać dalej?

Kiwnąłem głową.

— Dzisiaj rano podwiozłam Marka do szkoły i pojechałam do szpitala, Paweł jeszcze leżał w łóżku, jak wyjeżdżałam, a potem... zadzwoniła Krysia.

— Kto to jest ta Krysia, do cholery?

— Krysia to nasza pomoc domowa, najnowsza, jeszcze jej nie znasz — tłumaczyła cierpliwie.

— No i...

— Zadzwoniła... taka rozhisteryzowana. Przyszło ich dwóch... Coś Pawłowi pokazywali, pewnie legitymacje.

— Zabrali go? — zapytałem niedowierzająco. — Mieli nakaz aresztowania?

— Nie wiem, Krysia mówiła, że chcieli rozmawiać w domu, ale Paweł powiedział, że wolałby w jakimś innym miejscu, tak przynajmniej twierdzi Krysia.

— A skąd wobec tego wiesz, czy nie siedzą gdzieś w kawiarni na przykład?

— Nie, bo Paweł wychodząc powiedział do Krysi: „Jakby pani dzwoniła, to powiedz, że jestem na milicji”.

Zatelefonowałem przy Zycie do kapitana Białowiejskiego.

— Kapitan Białowiejski jest bardzo zajęty — usłyszałem.

— Proszę powiedzieć, że dzwoni Kryński, Kryński chce z nim mówić — powtórzyłem niecierpliwie.

— Rozumiem, proszę pana, ale kapitan nie może podejść do aparatu. Zapisałem. Jak kapitan będzie mógł, to do pana zadzwoni.

Odłożyłem, zniechęcony, słuchawkę. Zyta siedziała z kamienną twarzą.

— Wracasz, Zyta, jeszcze do szpitala?

— Nie wiem, nie wiem, co robić!

— Jeśli możesz, to jedź prosto do domu. Pewnie Paweł wkrótce nadejdzie. Nie domyślasz się, czego mogą od niego chcieć?

— Pojęcia nie mam.

— Słuchaj... podobno w sobotę utonęła jakaś dziewczyna w Kazimierzu. Kto wie, czy jej nie znał, tam się wszyscy znają — powiedziałem ostrożnie.

— Oszalałeś! Paweł nigdy nie interesował się gówniarami. O co ty go posądzasz! Zresztą nie było go nad Wisłą! — wrzasnęła.

— Skąd wiesz? — spytałem spokojnie.

— Wiem, bo ja tam byłam, widziałam, jak ją wyciągali... a Pawła nie było... szukałam go...

Milczałem. Zyta podeszła do mnie blisko. Miała metr osiemdziesiąt wzrostu, trzy centymetry więcej ode mnie.

— Sawa — powiedziała z rozpaczą — o cokolwiek by go oskarżali, on jest niewinny...

Stałem zamyślony, nie zauważyłem nawet, kiedy wyszła. Zatelefonowałem znów do komendy, tym razem do Kingi Borzęckiej. Historia się powtórzyła, porucznik wyszła, nie wiadomo, kiedy wróci, oczywiście powtórza, że dzwoniłem.

Już mnie nie kochają — pomyślałem smętnie. — Ale tym razem to ja muszę ich odnaleźć!

Zadzwoniłem do Zyty, była już w domu, Paweł jeszcze nie wrócił, obiecała, że jak się pokaże, natychmiast da mi znać.

— Przepraszam cię, Sawa, zachowałam się jak idiotka, ale wiesz, jaki jest Paweł... — głos jej się załamał.

— Przestań, do cholery, traktować go wiecznie jak małego chłopca... Da sobie radę! Zapominasz, że to sławny i bardzo już dorosły pisarz; będzie miał znów temat do nowej sztuki, tym razem kryminalnej, a ty

weź relanium i przestań histeryzować. Wpadnę do was wieczorem, to się wspólnie pośmiejemy z twoich strachów.

Ale nie było mi do śmiechu. Niezależnie od sprawy Pawła, muszę przecież się z nimi zobaczyć. I nagle olśniło mnie. Przecież znam Biedę. Bieda... Mój Boże, tyle lat się znamy, jako młody chłopak służył w oddziale mego ojca... Zna Hanke, bardzo ją emablował w swoim czasie. Kto, jak kto, ale Bieda będzie wiedział najlepiej.

Gorączkowo szukałem w notesie jego telefonu, bezpośredniego telefonu.

— Kto?! — zapytał ostro. Była chwila milczenia, dla mnie wieczność, a potem... — Seweryn! Jak się cieszę, chłopcze. Masz jakąś sprawę? Tak, tak, zaraz sprawdzę... Maciak... Paweł... Jak bieda, to do Biedy! — śmiał się, zadowolony ze swego starego dowcipu. — Słuchaj, stary, a może byśmy się tak gdzieś umówili? Jesteś jeszcze słomianym wdowcem? Dawno cię nie widziałem...

— Chętnie. Ja mam czas, jak wiesz, mam dużo czasu, dostosuję się do ciebie — zapewniałem skwapliwie.

Pies zaczął szczeekać. Bieda coś jeszcze mówił, gdybym mógł, tobym swego pudła udusił.

— Przepraszam cię, Stasiu, mój kundel urządza nagły koncert... Mówisz o siódmej? Gdzie?! — Dobra — będziesz już wiedział?... Tak?... Ja też ci trochę poopowiadam, może się wam to przyda, twoi ludzie prowadzą tę sprawę — tak — mam już pewne wnioski — nie!... Nie znam, niestety... Prywatny detektyw... a to dobre!... No to cześć!

Trzasnąłem wściekle słuchawką. Sewerek oberwie tym razem! Nie zdążyłem się obrócić. Poczulem straszny ból w potylicy i — zwałem się w ciemność.

ROZDZIAŁ VIII

Nie chciało mi się otwierać oczu, w głowie huczało — słyszałem jakieś głosy i jeden dziwnie znajomy...

— Czy zdjęcie na pewno nic nie wykazało?

— Zapewniam panią, że wszystko w porządku, uderzenie przeszło bokiem. I tak by się ocknął po jakimś czasie, to gaz go uśpił tak twardo...

— Gaz?! — wrzasnąłem, ale nikt na to nie zareagował.

— On coś szepcze, doktorze! Zwariowali? Szepcze...

— Zupełny dom wariatów — powiedziałem grubym głosem.

Chyba usłyszeli, bo zrobił się popłoch. Kiedy z wysiłkiem otworzyłem oczy, nachylał się nade mną brodac w białym fartuchu.

— To nie dom wariatów, proszę pana, tylko szpital — powiedział uprzejmie.

Usiłowałem się dźwignąć. Ból łupnął w czaszce, aż mi pociemniało w oczach. Całkiem jak wtedy...

— Ale mi przyłożył — poskarżyłem się dziecinnie.

— Ee... niech się pan nie pieści. Małe draśnięcie...

— Ile czasu tu jestem? — przypominałem sobie sprawę Pawła, umówione spotkanie z Biedą.

— Kilkanaście godzin. Znalazł pan sobie miejsce do spania...

— A kto właściwie mnie przywiózł?

— Jak to kto? Pana narzeczona, ukochana czy jak to się teraz nazywa.

— Hanka?! — poderwałem się z łóżka.

— Niech pan nie krzyczy... Obok w pokoju leży ciężko chory. O Hance nie słyszałem. Kapitan Białowiejski mówił o niej „święta Kinga”...

Opadłem na poduszki — zaniemówiłem.

— Chyba nie będzie pan znów spał, czekają od rana, pozwoliłem im wejść, jak tylko się pan obudzi.

— Bardzo twarzowy opatrunek — stwierdziła porucznik Borzęcka na powitanie.

Białowiejski był cały w uśmiechach.

— Znowu mnie kochacie — zauważyłem podejrzliwie. — Ale jak się do was dzwoni, to was nie ma.

— Jakoś to głupio wypadło — bąknęła Kinga.

— Głupio — zgodziłem się macając bandaż.

— Niech pan podziękuje pani Janickiej — pouczył mnie Białowiejski. — Gdyby nie ona, mogłoby być za późno.

— A ja myślałem, że uratowała mnie „święta Kinga” — powiedziałem niewinnie.

— Kinga? Janicka przyszła zabrać pana na obiad. Poczula gaz, narobiła alarmu.

— Gaz? Co z tym gazem, myślałem, że mi się śniło...

— Nie. Ktoś pana łupnął w głowę i potem odkręcił wszystkie kurki w kuchence. Janicka wezwała pogotowie.

— Ale lekarz twierdzi, że przywiozła mnie tutaj „święta Kinga”.

— Ja... ja byłem przypadkiem na Górnosławskiej... wstąpiłam do pana... akurat przyjechało pogotowie, więc przywiozłam pana do szpitala — tłumaczyła Kinga pod drwiącym spojrzeniem Białowiejskiego.

— No tak, a nie domyśla się pan, kto mógł tak pana urządzić? — zaczął urzędowanie Białowiejski.

— A to nie wy?! — zdziwiłem się obłudnie.

— Nie, nie my — odpowiedział smutno.

— Czekaj, Jacku... może nam chory powie, dlaczego mielibyśmy go utłuc?

— To jasne — roześmiałem się triumfująco. — Czekałem na to pytanie. Dzwoniłem do waszego szefa!

— Też mi powód — zdumiał się Białowiejski.

— Baliście się, że ja, amator, prędzej rozwiklam śledztwo niż wasza ekipa. A stary ma już chyba dość tej złotej serii morderstw...

— Właśnie... Stary prosił, żeby pana pozdrowić — wtrąciła taktownie Kinga.

— Czy pan przypuszcza, że ktoś mógł słyszeć pańską rozmowę, co pan mówił, wiem już od pułkownika Biedy.

— Pojęcia nie mam. Byłem sam w pokoju, chyba że jestem na podsłuchu...

— Mówmy jednak poważnie. Kończymy śledztwo w wiadomej sprawie, zamach na pana podważył nasze, zdawałoby się, pewne wnioski.

— Dobrze, panie kapitanie, będę już poważny, ale pan rozumie, cudem przywrócony życiu, nawet pani Kinga uroniłaby łezkę...

— A więc? — powtórzył Białowiejski. — W mieszkaniu nie było nikogo...

— To stało się już w dobrą godzinę po wyjściu doktor Maciakowej — odpowiedziała niewinnie Kinga.

— Tak, mniej więcej — potwierdziłem ostrzej, niż zamierzałem — ale przypominam sobie, że mój Sewerek zaczął ni z tego, ni z owego straszliwie hałasować...

— Dzwonił pan ze swego gabinetu?

— Jeśli tę dziuplę można nazwać gabinetem.

— Czy ktoś mógł wejść do mieszkania, przejść przez salon... dywan głuszy kroki... i wejść do pana... hm... pokoju.

— A jak się ten ktoś do mnie dostał? — przerwałem z zainteresowaniem.

— Drzwi mogły być nie zamknięte. Doktor Maciakowa nie pamięta, czy je za sobą zatrzasnęła.

— Albo też ktoś otworzył podrobionym kluczem — dodała Kinga oglądając czuby swoich słonecznikowych drewniaków.

— Podrobionym kluczem? — powtórzyłem powoli. — Jeśli przyjmiemy tę koncepcję, to już przedtem chyba próbowano się do mnie dostać. — Opowiedziałem im o piątkowej nocy. Popatrzyli na siebie bez słowa.

— Ma pan dwa zamki — zauważył Białowiejski.

— Tak, na noc najczęściej zamykam się podwójnie.

— Nie lubi pan niespodziewanych gości — uśmiechnęła się skośnymi oczyma Kinga.

— Istotnie, nie lubię.

— A odwiedzał pana jeszcze ktoś poza Buranym? Myślę o lokatorach ze Starego Miasta — dodała niewinnie.

— Nie, właśnie ten drugi zamek miał mnie przed nimi zabezpieczać.

— Czy sądzi pan, że posunęliby się aż...

— Bzdury! Bezczelni oni są, ale to w gruncie rzeczy... sympatyczna banda.

— Niestety, oni nie są wobec pana tak lojalni — roześmiał się Białowiejski.

— Ludzie! Czy wy w ogóle nie sypiacie? Obskoczyliście już chyba pół Warszawy — spojrzałem na nich z podziwem.

— Och, nimi interesujemy się od dawna. Właściwie to... inna ekipa, ale przy okazji pogadaliśmy i na pana temat...

— Jeśli mnie jeszcze zechcecie wrabiać w jakieś konszachty z tą hałastrą, to już nie pułkownik Bieda, ale ja sam się z wami rozprawię! — wrzasnąłem skacząc na łóżku.

— No, wie pan! — Do pokoju wtargnął brodaty lekarz. — Takich wrzasków dawno u nas nie było...

— Najlepszy dowód, że pacjent już się świetnie czuje — powiedziała słodko Kinga.

Co za żmija — pomyślałem z udręczeniem.

— Zastanawiam się, czy rzeczywiście nie odesłać pana do domu, chociaż powinien pan posiedzieć jeszcze u nas parę dni. Co pani o tym sądzi?

Kinga spojrzała na niego z takim zachwytem, że brodacze jak zahipnotyzowany strzepnął z krzesła kapita-
na Białowiejskiego i usiadł naprzeciwko niej. Białowiejski patrzył w okno z kamienną twarzą.

Biedny chłopak — pomyślałem litościwie. — Trzeba mieć żelazne nerwy z taką czarownicą.

— Zdaje się, doktorze, że mówił pan coś o moim wyjeździe do domu — powiedziałem dość natarczywie.

Z trudem oderwał od niej wzrok. Widocznie teraz ją dopiero „odkrył”. Potrafiła zdziałać czary jednym błyskiem skośnych zielonych oczu, jednym promiennym zębatym uśmiechem.

— Wypiszę pana jutro rano... — oznajmił spoglądając na mnie nieomal z obrzydzeniem.

— Nie zapaści pan sobie brody, kapitanie? — zapytałem po jego odejściu.

— Ja? — okropnie się zdziwił. — Moja dziewczyna nie cierpi brodatych mężczyzn — powiedział uśmiechając się do Kingi.

Nic z tego nie rozumiem.

— A może już dosyć kluczenia, panie kapitanie, i dowiem się wreszcie, co się dzieje z moim przyjacielem — odezwałem się nagle.

— Panie Sewerynie, niech się pan tak nie denerwuje, bo znów wpadnie brodacz i nici z jutrzejszego wyjścia, a pułkownik Bieda chce, żeby i pan był na spotkaniu omawiającym zakończenie śledztwa — poderwała się Kinga. — „Należy mu się to”, „pomagał nam, nadstawiał własną głowę” — zabawnie naśladowała sposób mówienia swego szefa.

Jeszcze obrażonym głosem zapytałem:

— A co z Maciakiem?

— A co ma być? — Nikt chyba na świecie nie umiał się tak naiwnie i szczerze dziwić jak porucznik Borzęcka. — Jest w Warszawie, w domu, o ile mi wiadomo. Co prawda pułkownik i jego zaprosił, ale czy przyjdzie, nie wiemy.

Ach, ta Zyta! — pomyślałem nagle.

Noc przespałem idealnie. Rano po obchodzie zdjęto mi uroczyście bandaż z głowy. Guz sterczał jak fioletowa gruszką pośrodku wystrzyżonej w krąg ton-sury. Nawet moje rudawe i bardzo gęste loki nie zdołały go zakryć. Zdeterminowany poprosiłem o jak największy plaster. Potem wziął mnie w swoje objęcia kardiolog. Siedziałem u niego bez mała godzinę.

— Dawno miał pan ten zawałik? — zapytał niefrasobliwie.

— To był potężny zawał — powiedziałem urażony.

— Jest pan teraz zdrow jak rydz — poklepał mnie wesoło, aż mi huknęło w plecach. — Nie znaczy to, że nie musi pan na siebie uważać — dodał pośpiesznie. — W dalszym ciągu żadnych papierosów, alkoholu jak najmniej, no i dużo spacerów. Milczałem ogłupiały.

— Nie jestem więc już umarlakiem? — wykrztusiłem po chwili.

— Chyba że pan znów podstawí głowę jakimś bandziorom, ale wtedy nie ja będę pana zszywał. Od tego jest doktor Ziętarski.

Przed wyjściem zadzwoniłem do pułkownika Biedy.

— Seweryn! Narobiłeś nam zamieszania — grzmiał przez telefon. — Ale niestety prowadziliśmy śledztwo trochę w innym kierunku, dopiero zamach na ciebie, no, o tym potem... Na szczęście wszystko w porządku. Wiesz, pomyślałem sobie, że nie ma sensu ciągnąć ciebie do nas. My wpadniemy do ciebie dzisiaj po południu, powiedzmy o czwartej. Umierasz pewnie z ciekawości, co? No jak? A może wolisz być sam po takiej porcji wzruszeń?

— Ależ nie, proszę bardzo, tylko w domu chyba nie ma nic prócz alkoholu... I chciałbym, Stasiu, jeszcze przedtem koniecznie z tobą pomówić — prosiłem.

— Pogadamy, pogadamy, ale wszystko w porządku, Sawa, na pewno twoje i nasze śledztwo mają wspólny mianownik.

Jechałem do domu spokojny. Trafił mi się jak na złość ponury kierowca- Bieda go przysłał. Coś się ten Bieda rozgadał na starość. Pamiętam go raczej bardziej stonowanego. No cóż, może i ja się tak kiedyś zmienię? Roznosiła mnie radość, aż nieprzyzwoita w obliczu tylu zbrodni, które się rozgrywały wokół mnie. Poczulem się znów młody, zdrowy i jakoś głupio szczęśliwy.

Naturalnie przed domem wpadłem w objęcia pani Janickiej. Ucałowałem ją w oba policzki i pognałem po schodach, obmyślając dla niej prezent. Pod drzwiami stanąłem jak głupi. Przecież nie mam kluczy. Zabrali mnie w pizamie, ktoś do szpitala doniósł ubranie, ale o kluczach zapomniałem, Zbiegłem z powrotem na dół.

— Pani Janicka, czy nikt nie zostawił u pani moich kluczy?

Wybałuszyła na mnie oczy.

— To pan nie był w mieszkaniu?

— Nie, bo co?

— Ktoś na pana .czeka... na górze — powiedziała tajemniczo.

Nie wiem, co sobie wyobraziłem, ale dzwoniłem do własnych drzwi z tłukącym się sercem. Musiałem mieć głupią minę, bo powiedziała ironicznie.

— Bardzo się rozczarowałeś?

— Hanka! — westchnąłem.

— Tak, to ja, ty mój kryminalny bohaterze. Wystarczy, żebym wyjechała na parę miesięcy, a zaczynasz rozrabiać jak pijany zając — śmiała się biegając swoim zwyczajem od pokoju do pokoju.

— Kiedy przyjechałaś?

— Przedwczoraj, zaraz niedługo po twojej przygodzie. Nie mogłam się dostać do domu... Nocowałam u znajomych. Coś się tak ozamczył, bałeś się o swoją cnotę?

— A kto przyniósł pani Janickiej moje klucze?

— Milicja, dziś rano. Wiesz... nie chcieli mnie wpuścić do szpitala — skarżyła się kładąc mi głowę na kolanach. — No... co? Nie cieszysz się, że już jestem... Sawa! — łaśliła się jak dawniej.

— A co zrobiłaś z Goldmanem, przyjechał również?

— Coś ty, Sawa, zazdrosny? To dopiero...

Zerwała się sprężyste z moich kolan. Biegała po pokoju boso, jak zawsze. Włosy miała długie, ciemne, bardzo piękne. Ciężkie, za ciężkie dla jej małej bizantyjskiej głowy — myślałem leniwie.

— Goldman pojechał do Izraela, ale wątpię, czy tam zostanie. Szkoda by go było, jest najbardziej polski w swojej twórczości spośród całej naszej grupy — mówiła zamyślona, związując włosy.

— Owszem, bardzo utalentowany — przyznałem obiektywnie.

— Bój się Boga, Sawa! Nie widzieliśmy się prawie pół roku, nie będziemy chyba mówili o Cyrylu!

— Ani o twojej bandzie ze Starego Miasta — poddałem.

Kucnęła u moich nóg, zaglądając mi w oczy.

— Sawa, to gówniarze, podobno naopowiadali ci masę bzdur. Chyba im nie uwierzyłeś!

Nie odpowiedziałem, bo zadzwonił telefon.

— Halo, to ja, Kinga. Niech pan nic nie mówi, proszę tylko „tak” albo „nie”.

— Dobrze. — Nic mnie już nie mogło zaskoczyć.

— Proszę zjeść z panią Rut obiad... w Grandzie.

— Nie!

— To prośba pułkownika, rozumie pan?

— Tak, ale mam inne plany.

— Wiem. Mimo to wyjdźcie teraz z domu... zaraz. Jest godzina 13.30. Proszę nie mówić pani Rut.

— Dlaczego?!

— Miał pan nie pytać. Nie ma sensu wtajemniczać ją w cokolwiek. Później jej pan wszystko opowie.

— Dobra — powiedziałem z ociąganiem.

— Z kim rozmawiasz? — spytała podejrzliwie Hanka, stając w drzwiach mego pokoju.

— Z dziewczyną, ze śliczną dziewczyną — odparłem nie zakrywając słuchawki.

— Niech się pan nie wygłupia! — parsknęła w telefonie Kinga. — Grozi wam niebezpieczeństwo, musicie wyjść z domu, chcemy was uchronić...

— Zbytek łaski!!! — burknąłem.

— Panie Sewerynie, ja także chciałabym pójść sobie na spacer, niech mi pan nie utrudnia... takie mam polecenie. Nie chce pan chyba przez swoją głupotę narazić panią Rut...

— Nie, oczywiście, masz rację, kochanie. Całuję twój nosek, twoje ręce...

Odpowiedziała mi obrażona cisza, a potem trzask odkładanej słuchawki.

— Ależ to poezja! — wykrzyknęła z zachwytem Hanka. Podniosłem ją do góry i zakręciłem w szalonym tempie.

— Bo jestem poetą, jestem! Jeszcze mnie nie znasz!

— Sawa... musimy porozmawiać — oznajmiła, kiedy ją wreszcie postawiłem na podłodze. Była lekka jak dawniej, nie utoczyły jej te zagraniczne wojaże.

— Oczywiście, że musimy się nagadać, mamy życie przed sobą, ale teraz idziemy na obiad.

— Do pani Janickiej?

— Nie, madonno. Idziemy do... Grandu! Trzeba jakoś uczcić twój przyjazd.

Hanka bardzo się opierała, aż się zrobiło nieprzyjemnie. Straciła humor, ale w końcu poszliśmy. W restauracji bez przerwy stał nam za plecami wyfrakowany kelner. Trudno było przy nim rozmawiać, a kuchnia

jak na złość pracowała na wolnych obrotach. Lecieliśmy do domu prawie kłusem. Ja, bo już dochodziła czwarta, Hanka, bo była wściekła.

Coś nie tak — myślałem smętnie. — Jakoś to głupio wyszło... Aniśmy pogadali, od razu na początku. Głupio.

Pod oknami pani Janickiej czekali już moi goście.

— Dzień dobry pięknej podróżniczce — pułkownik Bieda wręczył oszołomionej Hance kwiaty.

— Co za miła niespodzianka! — powiedziała entuzjastycznie.

— Pozwolisz, Haniu, że ci przedstawię swoją siostrzenicę. Nie miałem co z nią zrobić, dopiero przyjechała z Wrocławia, nie masz chyba nic przeciwko...

Kinga z wdziękiem wyszczerzyła zęby.

— Ależ, Staszku — zachnęła się Hanka, łypiąc czarnym okiem w stronę Białowiejskiego.

— A to jej narzeczoną — wyjaśnił swobodnie Bieda.

Kapitan Białowiejski skłonił się szarmancko i bąknął swoje nazwisko.

Byłem zdumiony tym cyrkiem, ale Hanka nabrała skrzydeł. Uwielbiała gości Usadowiła wszystkich w reprezentacyjnym salonie.

Bieda zapadł się w miękkie poduszki szkarłatnej sofy, przysiadłem się do niego na chwilę.

— Coś ty, Stasiu, po co ta komedia z Kingą i w ogóle?

— Tak, dla hecy, a przy tym znam Hanke. Lepiej, żeby nie kojarzyła ciębie... z Kingą.

— Oszalałeś — oburzyłem się nieszczerze.

— Udało mu się, co? — zarechotał Bieda biorąc kieliszek od przechodzącej z tacą Hanki. — Ma twarde łeb ten twój chłopak.

— Właśnie... A ja tak naprawdę to nic nie wiem, nie zdążyliśmy nawet pogadać — powiedziała targając mnie czule za czuprynę. Syknąłem z bólu.

— O... przepraszam cię...

Na szczęście ktoś zadzwonił do drzwi. Sewerek zaczął swój taniec z orkiestrą. Przyjechali Maciakowie.

rozdział ix

Zyta na widok Hanki stanęła jak wryta.

— Ale cię замуrowało — Hanka podeszła do niej blisko. Bardzo śmiesznie wyglądała od tyłu, z zadartą ku potężnej Zycie głową. Sama taka krucha i mała.

— Nareszcie przyjechałaś — powiedział Paweł, wydawało mi się, że ironicznie. Powściągliwie skłonił się Białowiejskiemu, obrzucił Kingę zdziwionym wzrokiem.

— Niech pan siada, może koło mnie? — zaproponował pułkownik.

Paweł wołał vis a vis. i tak jakoś śmiesznie usiedliśmy: Zyta, Paweł i Hanka na jednej sofie, Białowiejski z nieodstępną Kingą i pułkownik na drugiej. U wylotu, między dwoma sofami, na fotelu — ja. Pośrodku długi, niski stół.

— Konferencja na szczycie! — zawołałem, aby rozładować atmosferę.

— Wobec tego zaczniemy chyba tę konferencję — powiedział Bieda. — Udzielam głosu kapitanowi Białowiejskiemu.

— Na jaki temat? — zapytała Hanka podchwytyjąc ton zabawy.

Spadniesz z sofy — pomyślałem — kiedy się dowiesz, co się tu wydarzyło.

Nikt jej jakoś nie odpowiedział, zdziwiona i z lekka urażona wstała.

— Nie wiem, w co się bawicie, ale czuję, że jestem niepotrzebna. Wyjdę może z Sewerkiem.

Energicznie posadziłem ją na sofie.

— Nie czas na wygłupy, Hanka — warknąłem. Wzruszyła ramionami.

Zaczął więc Białowiejski.

— Domyślcie się państwo, że będziemy mówić o ostatnich wydarzeniach. Cofnijmy się więc do 12 września bieżącego roku, kiedy to zamordowano obywatelkę szwedzką, Gunnar Brikson. Wszyscy wiemy, w jakich okolicznościach zginęła, nie znaleziono narzędzia mordu, mógł to być bardzo ostry nóż, skalpel chirurgiczny, brzytwa. Wiemy, że Szwedka przyjechała do Polski po raz pierwszy w ubiegłym roku, za panem Maciakiem.

Spojrzałem, zaskoczony, na Pawła. Siedział ze spuszczoną głową.

— Wiemy również, a pan Maciak to potwierdził, że nawiązał się między nimi romans podczas jego pobytu w Sztokholmie. Romans ten trwał dalej przez trzy miesiące pobytu Gunnar Brikson w naszym kraju. Pan Maciak ukrywał ją w Kazimierzu, jedynie na dni weekendowe wyjeżdżała do Warszawy, kiedy to do Kazimierza zjeżdżała żona z dziećmi.

— Przestańcie! Na miłość boską! Przestańcie! — krzyknęła histerycznie Hanka.

Zyta zachowywała się imponująco. Jej nieruchoma blada twarz nie wyrażała żadnych uczuć. Jedynie duże dłonie, zaciśnięte na kieliszku, zdradzały ogromne napięcie. Bałem się, że lada moment, a kieliszek rozprysnie się jej w rękach

— Czy musicie mówić o tym, nie udałoby się pominąć tych... tych drażliwości? — spytałem niepewnie.

— Będziemy dzisiaj mówić o wszystkim, Sawa, co ma związek ze sprawą Szwedki. Nie będą to niewątpliwie przyjemne opowieści, ale śledztwo zakończone i sam chciałeś znać wszystkie szczegóły. Zresztą pan Maciak się zgodził... dlatego tu jesteśmy. A więc możemy mówić dalej? — zwrócił się Bieda do Pawła.

Maciak skinął głową.

— W Kazimierzu, w domu pana Maciaka widywała Szwedkę ekspedientka Markowska i mała Woźniakówna, właściwie mieszkająca w Puławach, ale Kazimierz był jej drugim domem, tu mieszkał jej chłopak. Rzecz jasna, że Gunnar Brikson widział w Kazimierzu więcej osób, ale nas interesują te dwie panie, które jechały tym samym pociągami, w którym tragicznie zginęła cudzoziemka. Chłopaka Woźniakówny zatrzymaliśmy, ale to nie on ją zabił. Ewa Woźniakówna jest na szczęście ostatnią ofiarą, którą pociągnęła za sobą śmierć Szwedki.

— Niedobrze mi, Sawa... — jęknęła Hanka. Bardzo mi było jej szkoda, żałowałem, że się zgodziłem na tę makabrę w swoim domu. Doląłem jej trochę koniaku.

— W tym roku Gunnar przyjechała niespodziewanie do Polski. Nikt się jej nie spodziewał — ciągnął dalej, Białowiejski, nie zwracając uwagi na moje krzątanie się przy pobludłej Hance.

— Pan Maciak wpadł w popłoch, przyjechał do Warszawy, aby się z nią ostatecznie rozmówić. Nie miał ochoty na podtrzymywanie tego romansu, nie chciał rozbijać swego małżeństwa. Szwedka się upierała, chciała koniecznie jechać do Kazimierza. Na dworcu Centralnym widział ich sprzeczkę kolejarz, widział, jak Maciak wskakiwał do pociągu, a za nim kobieta o białych włosach. Nie zdążyła wsiąść do przedziału, w którym siedział Maciak, prawdopodobnie zaskoczył ją tunel. Była to znakomita okazja dla zrozpaczonego, osaczonego mężczyzny. Kilkanaście sekund ciemności... Sprawca uciekł po morderstwie, zostali przygodni świadkowie.

— Co za bzdura! — roześmiałem się głośno. — Co za bzdura! Przecież i ja jechałem tym pociągami, przecież bym Pawła zobaczył, tym bardziej że, jak twierdziliście, był w tym samym wagonie.

— Nie, Sowa, to nie bzdura. Twoja przypadkowa obecność zainspirowała niejako następne rozpaczliwe zbrodnie — wtrącił znów Bieda.

— Nie rozumiem!

— Zrozumiesz. Trochę cierpliwości, a wszystko zrozumiesz — powiedział zmęczonym głosem Bieda.

— Przerwijmy tę koszmarną zabawę — zajęczała znów Hanka.

— Przecież był w Kazimierzu, był, jak przyjechałem — nie dawałem za wygraną.

— Tak — ostro włączył się Białowiejski. — Pan Maciak przyjechał pociągami o godz. 10.05, tym, którym pan zamierzał jechać. Zdążył w przeciwnieństwie do pana, bo nie zgłosił się, jak pan i inni, na świadka. Wieczorem w Domu Prasy dowiedział się, że Markowska prawdopodobnie mówiła coś o Szwedce redaktor

.Jagielskiej, a Jagielska знаła Gunnar Brikson. Poznała ją właśnie w ubiegłym roku w towarzystwie Maciaka w Warszawie. Prosił ją nawet o dyskrecję.

— Skąd pan to wszystko wie? Przecież nieboszczki Jagielskiej nie zdążył pan przesłuchać — sarknąłem ironicznie.

— Wiem od pana Maciaka. Mamy jego podpisane zeznanie.

— Paweł! Ty durniu... — głos Zyty drżał z wściekłości.

— W niedzielę pan Kryński postanawia dowiedzieć się czegoś na temat Szwedki, szuka więc Jagielskiej, ale nie wie, że przyjaciel był od niego szybszy. Pan Maciak zamiast do lasu, jedzie autostopem do Warszawy. Zna zwyczajnie Jagielskiej, dopada ją w opustoszałej w niedzielę telewizji i... dusi. Poznał go jeden ze strażników. Pan Maciak miał już parę razy program w telewizji, jest znanym pisarzem. Zeznał zresztą, że był w niedzielę w Warszawie, wrócił do Kazimierza tuż przed panem. Podrapany, sam pan to mówił, rzekomo w lesie... Ale to nie gałęzie go podrapały, to ofiara broniła się zaciekle. Potem pani doktor w rozmowie z mężem powtarza opowiadanie pana Kryńskiego o kolejarzu Barańskim. Pan Maciak konsekwentnie działa dalej. Zna już nazwisko i miejsce jego pracy. — Białowiejski na chwilę zawiesił głos.

— O kolejarza pytała podobno jakaś kobieta, tak mi pan mówił — powiedziałem słabo. Byłem coraz bardziej przerażony, bo Paweł milczał. Moja hipoteza waliła się w gruzy.

— Pracownica na dworcu Centralnym nie potrafi dokładnie określić tego głosu. Pamięta, że ktoś pytał o Barańskiego. Pan Maciak był zresztą na dworcu, tak zeznał, prawda?

Maciak patrzył udręczonym wzrokiem, Z osłupieniem zobaczyłem, że kiwną i potakująco.

— A więc śledził go. wszedł za nim do toalety, jeden cios, być może to samo narzędzie zbrodni, od którego zginęła Szwedka, i następny świadek zamilkł na zawsze.

— I to tak po prostu?! — wściekłość wzbierała we mnie coraz bardziej. — Jeden człowiek mógł jeździć spacerkiem z Kazimierza do Warszawy i tak bezkarnie mordować? A gdzie była milicja?! Czy nikt ich nie pilnował?! — patrzyłem na twarze siedzących rzędkiem na czerwonej sofie. Napotkałem czujny wzrok Kingi — urwałem zniechęcony.

— Masz prawo się denerwować, to prawda — niezręczną ciszę, jaka zapadła po moim wybuchu, przerwał pułkownik Bieda. — Przez cały czas podejrzewaliśmy kogoś innego, to był nasz błąd. No cóż, chłopce, organa śledcze mogą się mylić, ale w końcu zawsze właściwy sprawca jest postawiony przed sądem. Tę małą Woźniakównę z Puław pilnował osobiście jej ojciec, sierżant MO. Nie trzeba już chyba lepszej opieki. A jednak... ofiara sama wpadła w ręce mordercy. Przyjechała do Kazimierza. przechytrzyła ojca, po kolejnej zresztą awanturze w domu na temat jej chłopca, któremu groziło więzienie. Korzystając z tego, że znał ją od dawna, pan Maciak wywabił ją na spacer nad Wisłę. Widziano ich tam razem. Koniec spaceru znamy... No i jeszcze zostały dwie osoby: Markowska, która znikła z Kazimierza, przerażony muzyk, który sam się bardzo pilnował, no i... ty. Sawka.

— Właśnie, ja... Chyba mi nie powiecie, że Paweł i mnie!... — wrzasnąłem.

— Proszę pamiętać, że morderca był tylko jeden, co do tego nie ma najmniejszej wątpliwości — uciął sucho Białowiejski. — A jak to wyglądało, zaraz postaram się w miarę możliwości odtworzyć. Zresztą pan Maciak będzie mógł mnie poprawić, gdybym się w jakimś szczególe pomylił.

Udał, że nie widzi mego spojrzenia pełnego nienawiści.

— Pan Maciak niepokoił się, że pan nie przyjeżdża do Kazimierza. Chciał usłyszeć, co wie milicja i jakim torem toczy się śledztwo. Dotychczas pozostawał bezkarny, ale pan go niepokoił. Wiedział, że pan współpracuje z milicją, przynajmniej tak mu się wydawało, był przekonany, że pan go celowo unika, że widocznie coś pan podejrzewa. A więc na kolejny rajd do Warszawy, tym razem z żoną, decyduje się w ostatniej chwili. Trochę popsuła mu szyki nasza poranna wizyta na Żoliborzu. Prędko zresztą z nim się rozstaliśmy. Pan Maciak dowiedział się od gosposi, że zrozpaczona pani doktor pojechała do pana. Począł, aż wyszła. Miał szczęście, bo nie zatrzasnęła za sobą drzwi. Zapewne chciał z panem porozmawiać, może wybadać, jak sprawy stoją, bo rozmowa w komendzie bardzo już go zaniepokoiła. Ale tu na miejscu usłyszał fragment rozmowy telefonicznej z pułkownikiem Biedą. Chciał się pan podzielić z nim jakimiś podejrzeniami. Zapada szybka decyzja: za wszelką cenę uniemożliwić to spotkanie. Uderzył pana może przyciskiem leżącym na biurku, może popielniczką, a kiedy pan upadł, odkręcił w kuchence kurki gazowe. Wychodząc zatrzasnęła drzwi. Pies popędził za nim. Pani Janicka zaniepokoiła się, widząc pana psa, samego, pod oknem, pobiegła więc na górę. I to wszystko.

— Pawle, to nie o tobie chciałem mówić z pułkownikiem Biedą — powiedziałem nieswoim głosem.

Podniósł głowę, popatrzył na mnie udręczonym wzrokiem.

— Proszę cię, nie mów... nic już nie mów — zachrypiał tak jakoś strasznie.

Spojrzałem na Biedę. Nie podniósł oczu. Napotkałem pełne współczucia, zielone oczy Kingi. Na Białowiejskiego nie mogłem patrzeć. Nienawidziłem go jak nikogo na świecie.

— Pawle — odezwałem się raz jeszcze — i ty to podpisałeś?

— Taka jest prawda... niestety! — odpowiedział za niego Bieda. Dźwignął się ciężko z niskiej kanapy. — Kingo, moje dziecko, miałaś zadzwonić po samochód — zwrócił się do Borzęckiej. Kinga znikła w moim pokoju.

Hanka, bardzo blada, ale wreszcie opanowana, podniosła się szybko, aby odprowadzić go do drzwi. Zatrzymał ich koszmarny, obłąkany śmiech Zyty.

— Prawda?! Iwy to nazywacie prawdą? — powiedziała tak jakoś wzgardliwie.

Bieda usiadł zaskoczony. Ścisnąłem dłońmi pulsujące skronie.

— Powiem wam prawdę. Wiem, kogo chcesz obronić, Pawle — w głosie jej czuło się rozpacz. Stała za jego plecami, położyła dłonie na chudych, drgających konwulsyjnie ramionach męża.

Hanka opadła na kolana z jakimś jękiem, nieomal się do mnie przyczołgała.

Masz powitanie, madonno — pomyślałem gorzko.

— Zyta! Zastanów się — Paweł usiłował dźwignąć się, wyrwać się z przytrzymujących go konwulsyjnie rąk żony.

— Zastanowiłam się już wczoraj... Wiedziałam, że cię zmuszą do fałszywych zeznań — oznajmiła twardo.

Proszę pani! — wtrącił ostrzegawczo kapitan Białowiejski. — Tak, zmuszą — powiedziała z naciskiem, — Bo oni wiedzą, Pawle, że to ja, a ty bierzesz winę na siebie. Ale przecież tak nie można! To straszna pomyłka...

Bieda poruszył się nerwowo.

— Panie pułkowniku... moja żona jest chora... obiecał pan, że nie wciągniecie w to Zyty, przecież to, co ona mówi... — bełkotał nagle przerażony Paweł.

— Żądam, aby pan zapisywał moje zeznania — przerwała Zyta.

Białowiejski bez słowa wyciągnął notesik. Zaczęła głosem równym, spokojnym.

— O Pawła romansie wiedziałam. Kobieta zawsze wie, zresztą raz spotkałam ją w naszym domu w Kazimierzu i od razu się domyśliłam. To było w zeszłym roku. Paweł przysięgał, że to minęło, że powiedział jej o tym.

— Tak było, Zyto, uwierz mi — jęknął Maciak, chowając głowę w sterczące długie kolana.

— Dziewczyna przyjechała w tym roku. Była bezczelna i młoda, oznajmiła mi, że zmusi Pawła do rozwodu, że ma na niego coś, coś takiego... Widziałam ich na dworcu, wsiadłam również do tego samego wagonu, Paweł mnie chyba zobaczył. Skalpel wzięłam specjalnie ze szpitala, bo chciałam ją zabić. Potem... potem wróciłam do pracy. W niedzielę zostałam w Warszawie, koło południa zadzwoniła do mnie redaktor Jagielska. Znałyśmy się od paru lat. Chciała się ze mną koniecznie zobaczyć. Jagielska wiedziała o Pawle i jego romansie. Mówiła, że jest wstrząśnięta zabójstwem Szwedki i że jest przekonana, że tylko jeden Paweł mógł to zrobić. Złapałam ją, może nie chciałam aż tak mocno, ale...

— Proszę, proszę, niech pani mówi dalej — powiedział zimno Bieda. Patrzył na nią ciekawie, nawet jakby z podziwem.

— Seweryn rzucił w rozmowie nazwisko kolejarza. Nie powtórzyłam tego mężowi. On nic o Barańskim nie wiedział. Zadzwoniłam na dworzec i sprawdziłam. Wpadłam w panikę. Znalazłam Barańskiego bardzo łatwo, pokazano mi go, jak wchodził do toalety. Weszłam za nim, do męskiej toalety. Byłam przerażona, że ktoś nadejdzie, może i ktoś tam był w głębi, nie wiem, Barański stał i patrzył na mnie zaskoczony. Wbiłam mu nóż w serce. Niestety Markowskiej i tego... drugiego nie mogłam odnaleźć. W niedzielę — ciągnęła dalej swoją upiorną spowiedź — pojechałam z dziećmi do Kazimierza. Szukałam Pawła... Przyszedł wzburzony, ta mała Woźniakówna — to szantażystka. Groziła mu, że jeśli nie ukryje jej chłopca przed milicją, ona powie, że widziała Pawła ze Szwedką na dworcu w dzień zabójstwa. Paweł odmówił, ale czułam, że się bał i ja się bałam coraz bardziej... Nasz dom pobudowany jest nad samą Wisłą. Zastałam tę dziewczynę jeszcze na brzegu. Trzepnęłam ją w głowę, wpadła do rzeki...

Po chwili podjęła znowu.

— Kiedy zabraliście Pawła na przesłuchanie, pierwszym moim odruchem było szukać ratunku u przyjaciela, u Seweryna. Potraktował mnie tak jakoś brutalnie, niemal z niechęcią. Potem zaraz do mnie zadzwonił, chciał mnie ugłaskać. Uprzytomniłam sobie nagle, że to właśnie on, Seweryn, stanowi dla nas największe zagrożenie. Pewnie już wie, że to ja... Jest do obrzydliwości uczciwy i taki jakiś obok, jakby swoje życie obserwował z boku... On nie będzie miał dla mnie litości — pomyślałam. Wsiadłam w samochód i wróciłam, drzwi były nie zamknięte, tak jak je zostawiłam, rozmawiał przez telefon, twierdził, że wszystko już wie o mordercy. Co miałam zrobić, Sawa?! — zakończyła nieomal dziecinnie, składając swoje duże, białe dłonie.

— Jeśli mi jeszcze powiesz, że mnie przepraszasz, to się rozplaczę — powiedziałem z odrazą. — Anestezjolog, psiakrew!

Paweł patrzył na mnie z rozpaczą. Milicjanci z Kingą na czele siedzieli jak zamurowani. Na co czekają, do pioruna?!

Hanka ni z tego, ni z owego poderwała się z miejsca.

— Może komuś kawy? — zapytała tym swoim głosem od święta. Nikt nie zwrócił uwagi na idiotyzm pytania.

— Na co więc czekacie?! — powtórzyła za swoimi myślami Zyta.

Zachowywała się jak szalona, żadnej pokory, żadnego kajania. Pomyślałem ze ściśniętym sercem o Pawle i o ich trzech małych chłopcach. Ale w głębi serca poczułem ogromną ulgę, to wstrętne, ale tak było. Cieszyłem się, że to nie Paweł. Każdy, byle nie Paweł — modliłem się w duchu, przerażony przedłużającym się milczeniem pułkownika Biedy.

— Dlaczego pani doktor — zaczął wreszcie surowo Bieda — podczas tej swojej spowiedzi... dlaczego pani ominęła skrzętnie sprawę pewnej paczki?

— Seweryn! Muszę wyjść, niedobrze mi — jęknęła Hanka.

Kinga poderwała się z miejsca.

— Ja, już bym także chętnie wyszła — bąknęła, zmieszana.

— A ja bym prosił obie panie, aby nie wychodziły z pokoju. Zeznanie pani doktor podpiszą wszyscy tu obecni — kategorycznie zarządził Bieda. — Czy pani słyszała moje pytanie? — ponownie zwrócił się do Zyty.

— Taak. ale nie widzę powodu, abym miała coś więcej dodawać do moich zeznań — odpowiedziała chłodno.

— No to pozwolicie państwo, że ja te dwie prawdy, które tu usłyszeliśmy, uzupełnię drobnymi szczegółami... — zaczął spokojnie Bieda. — Prawdą jest, że Gunnar Brikson miała romans z panem Maciakiem, ale początkowo upatrzyła go sobie również dla innych celów, a mianowicie przesłała przez niego ze Szwecji okazałych rozmiarów paczkę heroiny... Tak. proszę państwa — narkotyki, tego nie braliśmy pod uwagę w początkowej fazie śledztwa i dlatego tyle ofiar pochłonęła cała sprawa. Nikt z celników nie sprawdzał walizki sławnego polskiego pisarza — prawda?! Gunnar przyjechała do Polski w parę dni potem, to było w ubiegłym roku. W tym roku Szwedka przyjechała również, wiemy już, że jeździła do paru krajów rzekomo w celach turystycznych, ale do Polski przyjechała tym razem głównie dla pana Maciaka. Podobno chciała się osiedlić na stałe w ojczyźnie swojej matki, ale koniecznie jako żona znanego pisarza. Przerażony pan Maciak starał się wyperswadować jej te matrymonialne zamiary. Zagroziła mu, że jeśli nie rozmówi się z żoną na temat rozvodu, to ona, Gunnar Brikson, wyjawí polskim władzom śledczym historię pewnej paczki z heroiną, a że pisarz jeździł potem do Francji i Turcji, gotowa dopowiedzieć jeszcze więcej o jego „przemycie” narkotyków. Była przekonana, że władze uwierzą w te zawinione i nie zawinione grzechy pana Maciaka. Pisarz, załamany, opowiedział wszystko żonie. I tu się zaczęła tragedia rodziny Maciaków. Szwedkę, twardo wybierającą się do Kazimierza, śledziła pani Zyta, widziała ich oboje na dworcu. Naturalnie pan Paweł również zauważył żonę. Po zabójstwie oboje byli przekonani o winie swego współmałżonka. Stąd te

zeznania pana Maciaka, najzupełniej dobrowolne, proszę pani — dorzucił w stronę Zyty — i pani dramatyczna powieść tutaj. Każde z was brało na siebie winę, bardzo to szlachetne, ale...

— Czy to znaczy, że ani Paweł, ani Zyta nie mają z tym nic wspólnego? — zapytałem oszołomiony. Nie mogłem początkowo w to uwierzyć. Usłyszałem nagle szloch Zyty. Płakała rozpaczliwie, a ja patrzyłem na to wstrząśnięty. — Więc po jaką cholere... ta cała szopa, ta wstrętna wiwisekcja! — dławilem się z wściekłości. — A ja już prawie uwierzyłem... Chciałem się przecież z wami wcześniej...

— Relacja pani Zyty bardzo nas zaskoczyła — przerwał mu Bieda — przykro mi, że do tego doszło, natomiast pan Paweł przeczuwał, że to się tak odbędzie, oczywiście nie uwierzyliśmy jego zeznaniom i pan Maciak zgodził się na ten seans, bo i on miał nadzieję, że morderca się załamie, że tli w nim jeszcze odrobina jakichś ludzkich uczuć, które nie pozwolą na skazanie niewinnego człowieka.

— Czy to ma znaczyć... — zacząłem niepewnie, Paweł spojrzał na mnie z bezbrzeżnym smutkiem.

— Daliśmy szansę mordercy — mówił Bieda patrząc mi w oczy. — Liczyliśmy, że wreszcie coś go poruszy, kiedy odkryjemy karty, udowodnimy jego powiązania z białym gangiem, zdemaskujemy szatański plan. Szatański, bo przecież dalsze morderstwa były popełnione tylko po to, aby utrzymać milicję w przeświadczeniu o winie pana Maciaka, który jakoby po zamordowaniu swojej kochanki zacierał ślady zbrodni, usuwając kolejnych świadków. Taką koncepcję narzucił nam morderca. A Szwedka, proszę państwa, została zabita z wyroku białego gangu. Za dużo wiedziała, dlatego musiała zginąć.

I zanim ktokolwiek zdołał zareagować na słowa pułkownika Biedy, Białowiejski wstał nagle i zapytał.

— Kiedy pani wróciła do kraju?

Spojrzałem niedowierzająco na kapitana. Hanka siedziała wyprostowana, z jakimś dziwnym uśmieszkiem na smagłej, drobnej twarzy.

— Parę dni temu, jeśli to m n i e pan pyta — odpowiedziała niedbale.

Wiedziałem, że jest wściekła, zawsze miała ten denerwujący uśmiech, kiedy była czymś bardzo poruszona.

— Przyleciała pani z Francji piętnastego sierpnia, dwudziestego trzeciego sierpnia pojechała pani do Sztokholmu, a do Polski ze Szwecji wróciła pani już dziesiątego września — monotonna recytował Białowiejski.

— Hanka... o czym on mówi? — poderwałem się z miejsca.

— Nie trzeba, panie Sewerynie, nie trzeba — odezwała się nagle, milcząca przez cały ten koszmarny wieczór, Kinga.

— Wybacz, Sewerynie, ale to prawda, miałam zaproszenie od przyjaciół i chciałam je wykorzystać, bałam się, że nie zechcesz mnie puścić — mówiła gorączkowo Hanka.

Popatrzyłem na nią w milczeniu.

— W końcu... to nasza sprawa, nie? — wściekłem się na Białowiejskiego.

Nie spojrzał nawet na mnie.

— Wróciła pani ze Sztokholmu razem z Gunnar Brikson.

— Nie znam żadnej Gunnar Brikson — spojrzała na niego jak na wariata.

. — Owszem. Polecono pani nie odstępować jej ani na krok, to już wiemy z innych źródeł.

— Nie wiem, o czym pan mówi — rzuciła przez zęby.

Westchnąłem ciężko. Oczy Kingi trzymały mnie na uwieży.

— Przyjechała pani do Kazimierza, do pana Maciaka. Opowiedziała mu pani bajeczkę o swojej nowej wielkiej miłości, że dlatego kryje się pani przed Kryńskim. A oni — Maciakowie — lojalni wobec pani i współczujący przyjacielowi dyskretnie milczeli.

— Nie chciałam, żeby cierpiał, jest chory na serce, bałam się...

Wiedziałem już, że to nieprawda. Zacząłem nagle jasno i przejrzyście wiązać sobie różne fakty tych koszmarnych ostatnich tygodni.

— To pani na rozkaz swoich mocodawców zabiła Gunnar Brikson, ale redaktor Jagielska i inni to był już pani własny plan zacierania śladów, plan mylnego tropu. Nie zamierzała pani oszczędzić nawet człowieka, wydawałoby się, najbliższego. Piątkowej nocy plan się nie powiódł, bo pan Kryński zamknął się na dwa zamki, a pani miała tylko jeden klucz.

— Klucz!... — powiedziałem do siebie.

— Tak, mówi pan zapewne o kluczu zawieszonym na drewnianej gruszce, kluczu z telewizji — podjął błyskawicznie Białowiejski. — Morderca zawsze popełnia jakieś błędy. Błędem było zabranie klucza do mieszkania — do tego mieszkania... bo przecież odwiedzała pani to mieszkanie pod nieobecność pana Kryńskiego, oczywiście wtedy, kiedy drzwi były zamknięte na jeden zamek.

I znów przypomniałem sobie zapach dymu z papierosów w Hanki pokoju.

— Śmierć pana Kryńskiego miała być pożegnalnym akordem pani pobytu w kraju, bo bilet do Rzymu wykupiła pani na piątek, prawda?

— Prawda! — powiedziała Hanka patrząc mu wyzywająco w oczy. — Ale to jedyna prawda, którą mi pan może udowodnić. Bo nie udowodni mi pan niczego z tego steku bzdur, którymi pan nas poczęstował, a tym bardziej handlu, jak pan to nazywa, białym proszkiem.

— Goldman — powiedział nagle Bieda.

— Co Goldman? — zachnęła się.

— Cyryl Goklmun, pod takim nazwiskiem go pand chyba znała. Goldman, agent Interpolu, udowodni to pani łatwo. No i są ci ze Starego Miasta...

Zbladła jeszcze bardziej, ale odpowiedziała spokojnie.

— Goldmana nie widziałam od czerwca. Rozstaliśmy się już w Nowym Jorku.

— A on nie mógł się widocznie z tym pogodzić, bo szukał pani i znalazł w Warszawie, niestety — za późno; uniknęlibyśmy tylu tragedii.

— To coś nowego... — roześmiała się wzgardliwie. Ani razu nie spojrzała już na mnie. Była ciągle pewna siebie i tylko zagniewana.

Ktoś zadzwonił do drzwi. Drgnąłem, ale nie miałem siły podnieść się z fotela. Hanka, niby odruchowo, ruszyła w stronę wejścia, ubiegł ją Białowiejski. Weszło dwóch mężczyzn, a między nimi młoda, szczupła dziewczyna. Chwilę stali wszyscy zbici w gromadkę, twarzami do nas. Spojrzałem na przybyłą...

Zdaje się, że to ta zapłakana dziewczyna z pociągu! Woźniakówna! A mówili, że nie żyje — myślałem beżładnie.

Hanka na jej widok dostała szału. Wyjąca i rozpaczliwie czepiając się drzwi, siłą wywleczono do czekającego na dole samochodu.

EPILOG

To już koniec, Stasiu, przekazuję Ci te zapiski tuż przed wyjazdem. Właśnie Tobie, który niegdyś przyjaźniłeś się z moim Ojcem i który w tej okropnej sprawie zrobiłeś wszystko, aby mnie z niej wyłączyć.

Całą noc te notatki czytałem, po raz pierwszy od tamtego dnia... Posegregowałem je w rozdziały, a epilog tej strasznej historii dopisała sama Hanka swoją nagłą śmiercią. I jakkolwiek to nie ja dostarczyłem cyjankali do więzienia, błogosławię go po stokroć.

Ze mną jedynym nie chciała się widzieć!

Może powinienem był te notatki spalić, ale proszę Was — przeczytajcie. Wiem, że nic nie tłumaczy Hanny Rut. Ani jej nieszczęśliwe dzieciństwo, ani choroba matki, która rzuciła ją w objęcia handlarzy narkotyków.

Wiem tylko jedno, że nie potrafiłem jej uchronić, a mogłem, gdybym się bardziej interesował jej życiem, podobnie, jak kiedyś mógł jej ojciec, który odkrywając powiązania córki ze światem przestępczym, zamiast ratować ją, nawet drastycznymi metodami, informując Was o tym — wybrał drogę najłatwiejszą: ucieczkę. Po prostu chciał się od tego wszystkiego odciąć.

I tak Hanka została sama ze swoim upiornym światem, który coraz bardziej spychał ją na dno rozpacz. Nie ufała nikomu, może jedynie Goldman mógł ją obronić przed nią samą i przed tamtymi, którzy byli coraz bezwzględniejsi, którzy ją pchnęli do pierwszej zbrodni. Tak nienawidziłem tego Goldmana, a przecież to on Hankę chronił. Ale się spóźnił... Obstawił całą grupę handlarzy narkotyków w sposób zdawałoby się idealny, a jednak... Hance udało się wymknąć. I to była nie tylko porażka świetnego, jak mówiłeś, pracownika Interpolu, to była głównie porażka Hanki.

Bo Hanka, Stasiu, chciała z tym skończyć. Wiem to. Jak przypuszczam, myślała, że wraz ze śmiercią Szwedki uda jej się wyrwać z owego przekłętego kręgu. Tak jej na pewno obiecali. A potem... potem zada-

wała ciosy w śmiertelnym przerażeniu, nawet mnie nie zamierzała oszczędzić w tym swoim szaleństwie. Bo ten szalony zbrodni, który ją opętał, nie miał moim zdaniem normalnego podłoża. Szkoda, że jej śmierć uniemożliwiła obserwację lekarską. A właściwie napisałem nieprawdę. Stasiu. Wcale nie żałuję, jestem szczęśliwy w tym swoim nieszczęściu, że ominęła ją ta ostatnia droga do szubienicy.

Wiem, że się ze mną nie zgodzicie, ale nie mogę inaczej, nie potrafię oprzeć się rozpacz i uczuciu bezsilnego żalu, że umarła w takim upodleniu. Widzisz, niedobrze ze mną. bo niby. czy można współczuć mordercy? A jednak... Do szaleństwa doprowadza mnie myśl, co zrobiła ze swoim życiem, taka utalentowana, taka nieszczęśliwa i taka... samotna.

Stokrotnie dziękuję Wam wszystkim, którzy zdecydowaliście o moim wyjeździe, bo ja sam na nic bym się teraz nie zdecydował, i że mi to stypendium załatwiłeś. Chyba wreszcie jednak zrobię ten doktorat.

Wybacz, że nie miałem -iły zobaczyć się z Tobą ani z tą uroczą parą Twoich podkomendnych. I to już chyba wszystko. Koniec epilogu.

Seweryn

— I co wy na to, moi drodzy? — pułkownik Bieda w zamyśleniu rzucił plik maszynowych kartek na biurko.

— Okropna historia, towarzyszu pułkowniku — powiedział Białowiejski. — Ciągłe nie mogę się z niej otrząsnąć. Ale przy czytaniu tych notatek zrobiło mi się trochę głupio... Bo to wygląda tak, jakby całą sprawę „Szwedki” rozpracowało tylko dwoje genialnych detektywów, to znaczy Kinga i ja, a tymczasem działało tylu z naszego Wydziału i gdyby nie oni...

— Och, Jacku, nie zaczynaj referatu — westchnęła Kinga. — Poza tym sądzę, że szefowi chodzi już nie tyle o sprawę pod kryptonimem „Szwedka”, co o samego Seweryna.

— Miejmy nadzieję, że prędzej czy później się z tego otrząśnie; czas to najlepszy lekarz — powiedział gładko Białowiejski. — A mimo wszystko, pułkowniku, nie potrafię zrozumieć, jak można żyć z człowiekiem tyle lat pod jednym dachem i tak... nic o nim nie wiedzieć!

— Seweryn nigdy nie był specjalnie towarzyski — powiedział w zamyśleniu Bieda — do tego instynktownie nie lubił przyjaciół tej Rut i unikał ich, jak tylko mógł. Ale oczywiście gdyby patrzył na wszystko bardziej przytomnie, domyśliłby się na pewno wielu rzeczy już wcześniej. On zawsze był zbyt ufny, zbyt łatwowierny... A w wypadku tej kobiety... no cóż... bardzo ją kochał.

KONIEC

